



6
raj utracony

7
byłam
salową

11
gliną
malowane

12
fan-club

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

7
(175)
KONTAKTY
19 II 1984
cena
10 zł



WITAJ GMINO

GRZEGORZ HOLUB

KALEKIE ŻYCIE

Ogólnie można powiedzieć — rzekł po namyśle Jan Brzoza — że rolnicza spółdzielnia produkcyjna powstała z cwaności. Natomiast Antoni Gzdyl nie wstąpił do spółdzielni z głupoty.

Nie ma powodów, dla których Janowi Brzozie nie należałoby wierzyć. A nawet wprost przeciwnie — jeśli komuś w Likszach daje się wiarę, to właśnie Brzozie. Bynajmniej nie dlatego, że Brzoza zawsze trzymał się z daleka od jakiegokolwiek przynależności, jeżeli nie liczyć ochotniczej straży pożarnej, w której od niepamiętnych czasów jest prezesem. Szacunek do Brzozy przylgnał głównie przez to, że będąc cieślą znanym w bliższej i dalszej okolicy nie patrzy tylko na to, żeby jak najwięcej nachapać się forsę, lecz pilnuje, aby ta robota, której się podejmuje, była wykonana solidnie i bez poślizgów.

Jan Brzoza jako człowiek otoczony szacunkiem — a przy tym niezależny od żadnej organizacji, dzięki czemu nikt nie mógł posadzić go o to, że został przez kogokolwiek nasłany — udał się do Antoniego Gzdyla, żeby namówić go do wstąpienia do zawiązującej się właśnie spółdzielni produkcyjnej. Było to w kilka tygodni po tym pamiętnym dniu, który powinien na trwałe zapisać się w historii Liksz; niewykluczone, że złotymi zgłoskami nawet. Co dziwniejsze, nie nie zapowiadało tego historycznego dnia. Można rzec zgola, że był to jeden z wielu dni, tyle że dżdżysty. Jak co ranka w zlewni mleka gromadzili się chłopcy. Siedząc w kucki na rampie gwarzyli o swoich wiejskich sprawach. Zwykle było tu gwarownie i wesoło. Tego ranka, pewnie z powodu psiej pogody, nie było rechetliwego nastroju. Panowało ponure, nie zachęcające do wszczynania rozmów, milczenie. Nawet Lechu Zalewski, dziesięciohektarowy gospodarz, który nie przepuszczał żadnej okazji do śmiechu, tym razem nie odzywał się — leniwie ćmił papierosa.

Nie zwracając się do nikogo w

W NASTĘPNYM NUMERZE: nierówny los pasożyta • 100 dni przed maturą • krzywda anonima • „Horyzont pojednania” • czas, w którym nikt nie ogłasza cudów • nie całkiem niewinne zabawy • „Tymczasem całuję”.

W ZWIĄZKU ze zgonem radzieckiego przywódcy Jurija Andropowa KW PZPR w Łomży wystosował depesze kondolencyjne na ręce ambasadora ZSRR w Polsce oraz I sekretarza KC Komunistycznej Partii Litwy. Podobne wyrazy współczucia i jedności w bólu wysłał KZ PZPR Zambrowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Rewolucji Październikowej na ręce ambasadora ZSRR.

XXI SESJA Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łomży w swej zasadniczej części poświęcona została debacie nad Wojewódzkim planem rocznym, Wojewódzkim Funduszem Rozwoju Kultury i budżetem na rok 1984. Podstawowe założenia uchwalonego przez Radę planu amirają przede wszystkim do: uzyskania poprawy w hodowli trzody chlewnej i umacniania korzystnych tendencji w hodowli bydła; stymulowania rozwoju produkcji rolniczej w celu dalszego łagodzenia napięć rynkowych; finalizowania inwestycji zwłaszcza tych, na których wystąpiły opóźnienia oraz poprawy w sferze ochrony zdrowia, oświaty i usług społecznych.

W bieżącym roku rolnictwo łomżyńskie otrzymało około 1500 ciągników, poważną ilość sprzętu tawarowego, 66,1 tys. ton nawozów mineralnych w czystym składniku, nie powinno zabraknąć środków ochrony roślin i kwalifikowanego materiału siewnego. Przewiduje się meliorację 2848 hektarów użytków rolnych, wybudowanie 2 wodociągów wiejskich (Wojny Krupy i Kłukowa) oraz 24,4 km sieci wodociągowej (Zbojna, Goniądz, Szafranki, Kulesze Kościelne, Ławsk, Perlejewo, Boguty, Szczodrzebny Borkowo, Kobylin Berzyny), zelektryfikowanie i poprawę zasilenia 653 zagrod, a także wzniesienie ponad 100 budynków inwentarskich i gospodarczych.

W przemyśle plan zakłada wzrost produkcji sprzedanej o około 4 proc. W niektórych dziedzinach (zakłady bawełniane) jego wykonanie warunkuje pełna dostawa surowca i obsada stanowisk pracy.

Z wielu zadań plan przewiduje m.in.: wzniesienie (budownictwo uspołecznione) 1485 mieszkań, zakończenie budowy lecznicy weterynaryjnej w Jedwabnem, Zbiorezej Szkoły Gminnej w Grabowie, przedszkoli w Wysokim Mazowieckim i Wąsosz, kilku domów nauczycielskich, Zostaną oddane do użytku ośrodki zdrowia w Piątnicy, Rutkach, Czyżewie, Bogutach Płankach, Zarębach Kościelnych oraz przychodnia rejonowa w Kolnie. Rozpocznie się budowa pawilonu zakaźnego przy szpitalu w Grajewie i domu opieki społecznej w Łomży.

W trakcie sesji Rada powołała Wojewódzką Komisję Czynów Społecznych oraz Wojewódzki Zespół Konkursu „Mistrz Gospodarności”. Ustaliła obszar gmin o szczególnych walorach przyrodniczych i społeczno-ekonomicznych dla rozwoju produkcji rolnej; obszary te znajdują się pod szczególną ochroną i opieką. Podjęła uchwałę o obniżeniu podatku z 10 do 1 zł za metr kwadratowy powierzchni zajmowanej na targowisku, odrzuciła natomiast propozycję zmniejszenia norm szacunkowych dochodów uzyskiwanych z upraw pod folią i szkłem. Na duże uznanie zasługuje mądre przyznianie się do błędów i podjęcie decyzji o zawieszeniu do roku przyszłego wykonania uchwały w sprawie nieobowiązkowego ubezpieczenia zwierząt.

NAD CZYM PRACUJĄ terenowe instancje partyjne? Odpowiadają I sekretarze:

● KMG PZPR w Nowogrodzie: — Oceniliśmy realizację zadań społeczno-gospodarczych w gminie w roku 1983, powołaliśmy komitet obchodów 40-lecia PRL oraz komisję skarg i wniosków. Naradę I sekretarzy POP poświęciliśmy sprawom wewnątrzpartyjnym (składki, sadania). Przybyło nam 2 kandydatów. Na Plenum omówiliśmy funkcjonowanie handlu i opiekę zdrowotną w gminie.

● KG PZPR w Wiśnie: — Egzekutywa oceniła pracę radnych-członków partii w mijającej kadencji. Tematem Plenum będzie funkcjonowanie gospodarstw oddanych państwu za rentę rolniczą. POP i kółka ZSL-u są organizatorami otwartych zebrań szkoleniowych na temat roli i zadań samorządu wiejskiego.

● KMG PZPR w Kolnie: — Omawialiśmy pracę Sanepidu oraz Urzędu Skarbowego w ubiegłym roku. Tematem Plenum będzie stan ładu, porządku i bezpieczeństwa publicznego w mieście, a najbliższej Egzekutywy — funkcjonowanie handlu w gminie oraz problemy zaopatrzenia rynku. Naradę z I sekretarzami POP poświęcimy realizacji uchwał i wniosków, prowadzeniu dokumentacji.

JAKĄ SPRAWĘ PRACOWNICZĄ udało nam się w tym roku załatwić?

● Wanda Marcinkowska, przewodnicząca Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Bawełnianego w ZPPB: — Założyliśmy specjalny rejestr skarg, w którym skrzętnie notujemy każdą sprawę, z jaką zgłaszają się do nas ludzie. W tej chwili mogę z niego odczytać dwie: zbiorową — zakończoną przyznaniem pracownikom naszego Zakładu bielizny ocieplanej i indywidualną — zakończoną skróceniem, w wyniku naszej interwencji, terminu wypowiedzenia z sześciu miesięcy do jednego.

● Bożena Płaskowicka, przewodnicząca Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Owocowo-Warzywnego w Wysokim Mazowieckim: — W tej chwili są kłopoty z ubraniami roboczymi, więc staramy się zaradzić temu problemowi. Z indywidualnymi sprawami pracownicy się do nas jeszcze, szersze mówią, nie garną.

● Tadeusz Łada, przewodniczący Związku Zawodowego Pracowników Leśnych i Przemysłu Drzewnego w Białostockich Fabrykach Mebli, Zakład nr 1 w Łomży: — W dwóch przypadkach wstawiliśmy się skutecznie, za ukaranymi pracownikami. Zgodnie z naszymi żądaniem w tapiearni zainstalowana została wentylacja.

100 ROCZNICA URODZIN Adama Chętnika, wypadająca w przyszłym roku już teraz pobudza wiele ciekawych inicjatyw. M.in. T.warzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej zamierza wydać dzieła wszystkie Adama Chętnika, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze planuje natomiast zorganizowanie w Łomży swego 60 Walnego Zgromadzenia Delegatów w połączeniu z sesją naukową poświęconą wybitnemu Łomżyńczykowi.

WOJEWÓDZKI ZARZĄD ZBoWiD, którego przewodniczącym ponownie wybrany został płk Tadeusz Olejniczak, skupia się w swej działalności, zgodnie z uchwałami II Zjazdu, głównie na sprawach społecznych: konkretnej pomocy kombatanom, wdowom po nich; stara się objąć dobrodziejstwem „kombatanckiej” ustawy swych członków, mieszkających na wsi.

DOM MOICH MARZEŃ wybudował Władysław Butwiłowski z Kramkówek Dużej (gm. Goniądz); w konkursie tygodnika „Nowa Wieś”, „Plon” i ZSMP pod tym właśnie hasłem został on wyróżniony specjalnym medalem. Weźnieli, na szczeblu wojewódzkim, zdobył pierwsze miejsce. Gratulujemy.

POLMETEK organizowanego przez ZSMP Turnieju Wiedzy Rolniczej na szczeblu gminnym świadczy o niezłym przygotowaniu fachowym tegorocznych uczestników. Zwycięzcy zostali m.in.: w Kolnie — Antoni Podszewski z Borkowa; w Trzciannem — Andrzej Gawędzki z Trzciannego; w Grabowie — Ryszard Budy z Golonki, a w Piątnicy Mieczysław Cwalina z Wyżek. Wszyscy oni otrzymali nagrody w postaci przydziałów deficytowego sprzętu rolniczego.

ODWAŻNI, lubiący przygody, rozmiłowani w nowoczesnej technice maturzyści mogą się już zgłaszać do wyższych szkół wojskowych. Szczegółowe informacje w Wojewódzkim Sztabie Wojskowym w Łomży (tel.

41-14, 14-13, 52-41), Wojewódzkiej Komendzie Uzupełnień w Łomży (tel. 29-54), WKU w Zambrowie (tel. 25-83). Już dzisiaj zapowiadamy: w czasie dyżuru, 13 kwietnia br. w łomżyńskim oddziale „Gazety Współczesnej” (tel. 30-76) będzie możliwość bezpośredniej rozmowy z podchorążymi i oficerami WP. Członkowie Wojewódzkiej Komisji Koordynacyjnej ds. Rekrutacji postanowili szerzej upowszechnić wiedzę o wojsku wśród młodzieży, pomóc w przygotowaniu maturzystów do egzaminów wstępnych do szkół oficerskich, kształtować żołnierskie cechy charakteru wśród harcerzy i członków organizacji młodzieżowych m.in. poprzez organizowanie wycieczek do szkół wojskowych i spotkania z żołnierzami.

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA zaplanowała na bieżący rok aż pięć konkursów czytelniczych: III edycję „Czterdziestu lat socjalistycznej białe-czerwonej”, „Czterdziestu lat Polski Ludowej”, „Byliśmy, jesteśmy i będziemy nad Odrą, Nysą i Bałtykiem”, „Biblioteczny mistrz recytacji 1984”, oraz „Biblioteka publiczna — dobrej każdego”.

pytanie drażliwe

— W związku z nadal licznymi skargami Czytelników na pracę dworców PKS podsuwamy rozwiązanie zaobserwowane w Grudziądzu: dyżurny ruchu nie tkwi za biurkiem, lecz odprawia każdy autobus bezpośrednio ze stanowiska. Efekt — zniknięcie niepunktualnych odjazdów, braki tablic informacyjnych, awantury kierowców z pasażerami. Czy tego pomysłu nie można by wprowadzić również u nas?

Odpowiada dyrektor Przedsiębiorstwa Komunikacji Samochodowej, Oddział Łomża JERZY BRODA: — Myślę, że nie chodzi tu o to, aby dyżurny ciągle przebywał na placu, lecz żeby sumiennie wypełniał swą funkcję kontrolną. Zresztą przeniesienie jego siedziby tak, by przez okno mógł mieć wszystkie autobusy jak na dłoni. Mogę zapewnić, że nie brakuje nam tablic informacyjnych, a rozkład pracy kierowców ustaliliśmy tak, że mają oni pół godziny przerwy między kursami i mogą zdążyć podjechać na stanowisko obojętnie, czy to przed planowanym odjazdem. Jeśli mimo tego zdarzają się — a wiem, że tak — nieprawidłowości, jest to, niestety (poza przypadkami nagłych awarii) winą braku zawodowej odpowiedzialności części naszych pracowników. Nie jesteśmy wobec tych faktów obojętni: w ubiegłym roku musieliśmy wymierzyć za różne przewinienia 270 kar, 39 wymowień z pracy. Zabrzmiało to być może słownie, ale musimy podkreślić, że większość kierowców to naprawdę rzetelni ludzie, o dużym stażu, doświadczeniu i kulturze. Ci, którzy psują nam opinię, jeśli tylko dotrze do nas jakikolwiek sprawdzony sygnał, nie mają i nie będą mieć u nas lekkiego życia.

gościli w Łomży

Tadeusz Rzepecki, przewodniczący Rady Młodzieżowej Wojska Polskiego, wiceprzewodniczący ZG ZSMP — spotkał się z Prezydentem ZW ZSMP w Łomży; Aleksander Młodzianowski, dyrektor Delegatury NIK w Białymstoku — wziął udział w obradach XXI Sesji WRN; Danuta Śniecińska, sekretarz Komisji Adaptacyjno-Opiekuńczej ZG TPD — uczestniczyła w szkoleniu aktywności TPD; Włodzisław Bieliński, dyrektor naczelny Zakładów Offsetowych RSW w Warszawie, Albert Kosowski, I sekretarz POP Zakładów Offsetowych RSW, członek KC; Andrzej Urbański, przewodniczący Komisji Pracowniczej Zakładów Offsetowych — gościli w łomżyńskiej drukarni, która od niedawna stała się filią zakładów offsetowych, oraz w redakcji „Kontaktów”.

wieści gminne

PRZYTUŁY. W odrodzonej gminie znalazło się jedynie 18 wsi, z Jedwabnego i 3 ze Stawisk. W przednio było ich ponad 30. Są to nie jeszcze możliwości przyłączenia okolicznych wsi do Przytuł — zdecydować o tym może zebranie wiejskie.

RADZIŁÓW. Weterynarze badali profilaktycznie zwierzęta hodowlane, by wykryć białaczkę i gruźlicę. W ubiegłym roku stwierdzono dwa przypadki zachorowań, w tym rok — jak dotąd, ani jednego.

● Często przyczyną obniżenia mleka jest zapalenie wymion krów. Schorzenie wykrywane jest przez mleczarzy po dość długim czasie (średnio po miesiącu), a jednocześnie dostawca ponosi straty, spowodowane niższą wartością mleka. Nie ma jednak możliwości, aby weterynarz z własnej inicjatywy badał każdą mleczną krowę częściej, np. co tydzień. Doradczym wyjściem pozostała dbałość o higienę i nabywanie przez hodowcę umiejętności stwierdzania stanu zapalnego.

WĄSOSZ. „Kontakty” trafiły do zmagania młodych rolników Gminnej Olimpiady Wiedzy Rolniczej. Wśród nagród znalazły się: talony na przetraszczo-zgrabiarkę na rozrzutnik obornika, do wyburzenia — dołarka, chłodniarka do mleka, elektryczny pastuch, a także nagrody rzeczowe do 5 tys. złotych: nawozy, środki ochrony roślin, dodatki paszowe.

● Kryzys paszowy, to pojęcie względne. W miejscowym magazynie na nabywców czeka 30 ton mieszanki paszowej — T-1 i T-2. Sprzedaż nie jest obwarowana żadnymi warunkami, a jednak brakuje nabywców.

Poprzednią partię mieszanki składowano do wolnej sprzedaży tuż przed upływem terminu przydatności do spożycia. Niektórzy hodowcy podali ją zwierzętom po tym terminie i zdarzyły się przypadki zatrucia i padnięcia zwierząt. Stąd wniosek do Zespołu Paszowego przy Urzędzie Wojewódzkim, aby pasza do wolnej sprzedaży kierować o najmiej 50, a nie — jak dotychczas — 30 dni przed upływem przydatności do użytku.

Natomiast rozwiązano już problem ze sprzedażą provitu. Ten datak paszowy dostarczany jest najczęściej w 50-kilogramowych workach, które należy sprzedawać bez naruszania opakowania. Jednak zgodnie z najnowszymi zarządzeniami mi za dostarczonego tucznika hodowca powinien otrzymać 70 kg, toteż Zarząd GS-u podjął decyzję o otwieraniu worków i dosypywaniu do odpowiedniej wagi.

● Nie ustają pretensje korzystających z zaopatrzenia w filii szczyńskiego GS-u w Wąsosz. W końcu stycznia do Szczuczyna dostarczono 900 konserw mięsnych, według rozdzielnika do Wąsosz — powinno trafić 360 konserw — nie dostarczono ani jednej, a dwa dni przed końcem miesiąca zabrakło cukru.

Placówki handlowe w Wąsosz u ubr. przyniosły kilka milionów złotych zysku — powinno to przekonać Zarząd GS-u do budowy pawilonu podobnego jak w Piątnicy.

● Również nauczyciele z Sulewa w imieniu całej wsi dopraszają się większej łaski GS-u. Według harmonogramu chleb dowozi się dwa razy w tygodniu. Bywa jednak i tak, że dociera on do wsi, wcale nie odległej — co 4 dni.

● O tym, że pojawił się nowy funkcjonariusz MO, przekonali się mieszkańcy Wąsosz w poprzednią środę. 20 użytkowników dróg zapłaciło mandaty. Przyjemność ta nie ominęła także naczelnika gminy, który — jak się okazało — jeździ samochodem z niesprawnymi wycieraczkami. Złośliwi twierdzą, że bezkompromisowość nowego milicjanta nie potrwa długo — będzie musiał „wpasować” się w istniejące układy, polegające m.in. na tym, że np. pami komendantowa — pracownik urzędu gminy, do sklepu może wyjść w ciągu dnia pracy, ile razy zechce.

KOŁAKI KOŚCIELNE. Zaliczkowy przydział maszyn wywołał zdenerwowanie wśród oczekujących. Lepiej byłoby nie dzielić na etapy. Rozterki budzi np. to, czy ciągniki

CIĄG DALSZY NA STR. 15

zdarzenia



zdanie tygodnia

— Odnowa goni u nas odnowę, bo co się trafi naprawiać, wkrótce okazuje się, że jest zwyczajnym majstrem-klepką.
Janusz Milik, Grajewo

myśl z atestem

„Nie szukajcie przyjaciół daleko, a wrogów blisko.”

Urho Kekkonen



Takie chrzciny nie zdarzają się co dzień! Fetowanym noworodkiem była gmina Przytuły, a matką chrzestną — nasza redakcyjna koleżanka, Danuta Wroniszewska. Po trzech latach walki o odzyskanie gminnej godności przytulanie wręczyli naczelnikowi, Fabianowi Brzostowskiemu, symboliczny klucz do — nieco uszczuplonych — włości. Jest nadzieja, że wkrótce się one rozrosną: po obfitym polaniu szampanem, przy przychylności władz wojewódzkich oraz dzięki samozaparciu samych przytulan. Życzymy, by wszystkie dni nowej gminy płynęły tak gładko, jak rozplwał się w ustach świąteczny tort.



**ZDJĘCIA
GABORA LÖRINCZEGO**



WITAJ GMINO

Kolektyw kierowniczy tj. Dyrekcja, POP, Oddział ZNP i samorząd słuchaczy Zespołu Studiów Nauczycielskich w Łomży bardzo krytycznie ocenił i wyraził niezadowolnienie z artykułu Danuty i Aleksandra Wroniszewskich pt. „Karbid w kaganku oświaty” zamieszczonym w nr 50 „Kontaktów” z 11.12.1983 r.

Powodem naszego niezadowolnienia jest fakt:

1) robienia publicznej sensacji i uważania za cwaniactwo (dyrektor nie zasypiał gruszek w popiele) normalnej troski o bazę i poziom kształcenia przyszłych nauczycieli, na których czekają dzieci w przedszkolach i klasach początkowych szkół podstawowych naszego województwa;

2) publicznego ubliżania aktualnym i przyszłym nauczycielom wydając bezpodstawną ocenę „pedagogów raczej niedouczonej”.

Prawie 40 tysięcy nauczycieli niewykwalifikowanych w kraju i ponad 600 w naszym województwie to problem ogromnej rangi społecznej, wymagający powszechnej świadomości potrzeby tworzenia szerokiego frontu pomocy szkole i nauczycielom oraz koncentracji sił i środków tak państwowych, jak i społecznych.

Do realizacji tak ważnego celu we wszystkich województwach, a więc i w naszym, powołano zespoły studiów nauczycielskich o kierunkach: wychowanie przedszkolne i nauczanie początkowe z dwuletnim cyklem kształcenia po maturze liceum ogólnokształcącego i przy zdaniu egzaminu z języka polskiego oraz wychowania muzycznego i plastycznego. Skompletowaliśmy bardzo dobrą kadrę pedagogiczną o kierunkowych kwalifikacjach magisterskich; w ciągu jednego miesiąca przygotowaliśmy otrzymaną najskromniejszą w Łomży bazę, w której znalazło miejsce prawie 400 słuchaczy na kierunkach: dziennym i zaocznym.

Biorąc pod uwagę ogólną ocenę dyrektorów szkół i przedszkoli odnośnie praktyk pedagogicznych oraz pracy naszych absolwentów należy obiektywnie stwierdzić, że poziom

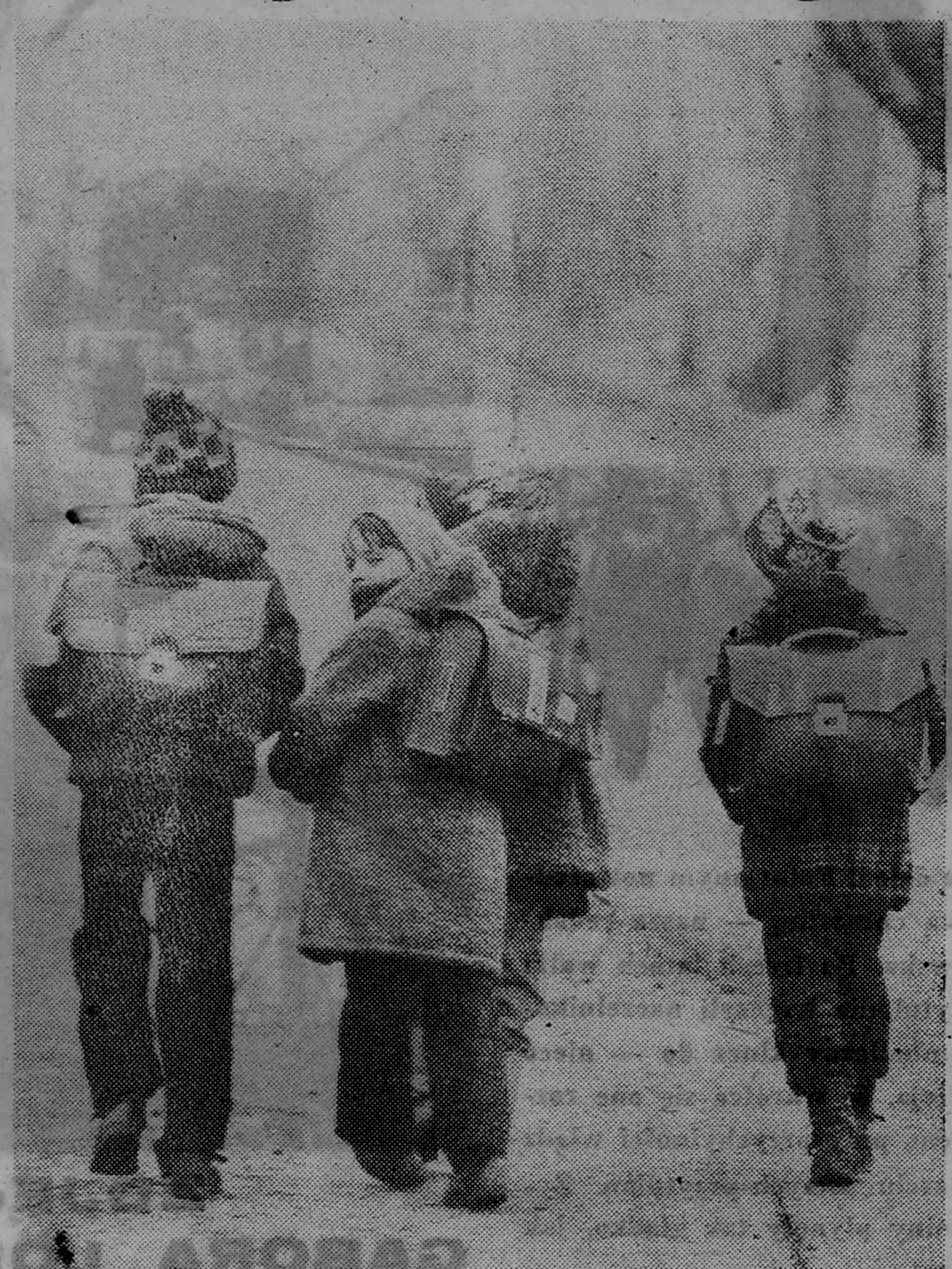
ich przygotowania jest dobry. Dotkliwie odczuwamy brak sal na wykłady i ćwiczenia, hali sportowej, własnego internatu, a odległość usytuowania przedszkoli i szkół ćwiczeń (przy braku miejskiej komunikacji na Rybaki) bardzo utrudnia organizację praktyk pedagogicznych.

Nie też dziwnego, że dyrektor, mgr Mirosław Moraczewski — mając wyznaczone odpowiedzialne zadanie i ogromnie trudne warunki — miał nie tylko prawo, ale i obowiązek szukania rezerwy do poprawy bazy, a słysząc oficjalnie opinię przedsta-

wicieli ZW ZSMP i widząc absolwentów Technikum Weterynaryjnego poszukujących pracy lub zmieniających zawód (za duży luksus, szczególnie w okresie wychodzenia z kryzysu gospodarczego) liczył na zrozumienie i pomoc.

Jest to tym bardziej aktualnie niezbędne, iż zgodnie z postanowieniem Ministra Oświaty i Wychowania od nowego roku szkolnego zespoły studiów nauczycielskich otrzymają status uczelni wyższych stopnia podstawowego z prawem drożności i — po roku lub dwóch pracy — kończenia bez specjalnych

„Karbid w kaganku oświaty”



Wnawianiu do artykułu Danuty i Aleksandra Wroniszewskich pt. „Karbid w kaganku oświaty” („Kontakty” z dnia 11 grudnia 1983 r.) pragnę wyrazić swój stosunek do niektórych poruszonych tam kwestii.

Jak sami autorzy pisza „w tym konflikcie nie ma zwaśnionych stron. Tzn. żadna z nich oficjalnie do tego przyznać się nie może. Oficjalnie nie ma bowiem konfliktu”. Otóż konfliktu nie ma nie tylko „oficjalnie”, ale nie ma go faktycznie.

Rozważania bowiem i dyskusje nad ewentualną zmianą przeznaczenia obiektu Zespołu Szkół Weterynaryjnych w Łomży na siedzibę Zespołu Studiów Nauczycielskich, w aspekcie zróżnicowanych potrzeb kształcenia techników weterynarii i nauczycieli, nie wydają się naganymi. Ich źródłem była powszechnie prezentowana opinia o trudnościach w zagospodarowaniu absolwentów Zespołu Szkół Weterynaryjnych w związku z nasyceniem rynku pracy dla techników weterynarii. To właśnie dzięki tym dyskusjom wyjaśniono — na długo przed ukazaniem się artykułu Danuty i Aleksandra Wroniszewskich — że opinie te są nieprawdziwe i nadal, jak twierdzą odpowiedzialni za ten problem czynnik, jest więk-

sze zapotrzebowanie na techników weterynarii niż możliwości ich kształcenia, a w związku z tym nie ma podstaw do jakichkolwiek zmian w organizacji Zespołu Szkół Weterynaryjnych. Szkoda tylko, że nauczyciele tej szkoły odczytali te rozważania jako „zamach” na swoją placówkę; sądzą, że nie było podstaw do takich obaw. Trudno również przyznać rację dyrektorowi Zespołu Szkół Weterynaryjnych, kiedy mówi, że z powodu wytworzonej wokół szkoły atmosfery „po raz pierwszy w historii szkoły mieliśmy na egzaminach wstępnych niedobór chętnych”. Otóż niedobór chętnych był i będzie przez najbliższe lata nie tylko w Zespole Szkół Weterynaryjnych, lecz we

wszystkich szkołach ponadpodstawowych, a związane to jest z małą liczbą absolwentów kończących szkołę podstawową.

Nie mogę ustosunkować się do zarzutów w kwestii zmniejszenia przyjęć do klas pierwszych i „zawieszenia naboru kandydatów do Zespołu Szkół Weterynaryjnych z terenu Łomżyńskiego”. Sądzą, że do tego stwierdzenia ustosunkuje się Wydział Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa, sprawujący nadzór nad Zespołem Szkół Weterynaryjnych.

Odrębnego potraktowania wymaga poruszony problem kształcenia nauczycieli w Zespole Studiów Nauczycielskich w Łomży. Z poglądami autorów w tej kwestii zgodzić się

egzaminów trzyletnich studiów magisterskich jak: wychowanie przedszkolne, nauczanie początkowe I—III) oraz wychowanie muzyczne, plastyczne, techniczne i fizyczne kl. I—III.

Stopniowo, w miarę nasycenia naszych przedszkoli i szkół kwalifikowaną kadrą pedagogiczną, będziemy przechodzić z cyklu dwuletniego kształcenia po maturze LO na sześciolletni cykl kształcenia po ósmo-klasie szkoły podstawowej.

Drugi problem intrygujący i budzący nasze niezadowolnienie w tym kaganku państwa Wroniszewskich — kultura i forma wypowiedzi. Kto upoważnił i na jakiej podstawie, wystawiać ocenę aktualnego i przyszłego nauczycielom, że są niedouczeni? Na jakiej podstawie państwo Wroniszewscy usiłują podważyć pozytywne oceny zastrzeżonego egzaminu maturalnego absolwentów LO z podstawowych przedmiotów: jęz. polskiego i matematyki? Na jakiej podstawie usiłują podważać autorytet, kształtować opinię społeczną oraz obrażać godność osobistą oraz dwuletnią uczciwą pracę i pracę naszych nauczycieli i słuchaczy? Rodzą się dalsze i bardziej ogólne pytania. Kto dał prawo państwu Wroniszewskim ubliżania ludziom naszego województwa na łamach tygodnika „Kontakty”, wywołując np. od „czarnych baranów” lub w oparciu o zwykłe plotki stworzenia intryg rodzących konflikty? Kto upoważnił do uzurpowania kompetencji na mądrość i nieomyślność nauczaniu i ocenianiu władz, organizacji społeczno-politycznych i ich przedstawicieli bez prawa autoryzacji? Czy stosowanie tak obsesyjnie negatywnej pedagogiki, skłócającej nasze społeczeństwo, ma być wspólnym z obiektywną i sprawiedliwą krytyką twórczą? Czy w imię ce państwa Wroniszewskich cel w uszczelnienie środków, do których zaliczają również ludzi, poświęcając ich pedię za sensacją, powierzchownością i wątpliwą sławą? Czy tak postępowanie przysparza przyjaźni i buduje autorytet „Kontaktom”?

(podpisy nieczytelne)

nie można. Godne ubolewania jest stwierdzenie, że dwuletnie studia nauczycielskie to poroniony pomysły, gdyż kształcą niedouczone nauczycieli. Do tego obraźliwego stwierdzenia trudno się ustosunkować, gdyż nie są mi znane argumenty na jakich autorzy artykułu oparli to stwierdzenie. Chcę tylko poinformować, że zarówno dwuletnie studia pomaturalne, jak i 6-letnie po szkole podstawowej weszły w życie do systemu kształcenia nauczycieli w Polsce. Ze względu na brak bazy lokalowej w Łomży nie ma możliwości organizowania studiów sześciolletniego. Dlatego kształcić się będzie nauczycieli w 6-letnim studium pomaturalnym z kierunku: wychowanie przedszkolne i nauczanie początkowe. Warto poinformować, że istniejący drugi Zespół Studiów Nauczycielskich jest placówką dobrze wyposażoną i dysponującą wykwalifikowaną, specjalistyczną kadrą. Prawdą jest, że potrzeba więcej nauczycieli niż możliwości ich kształcenia. Nie będzie jednak, wbrew obawom autorów artykułu, tam nadmiernej ciasnoty, będzie przyjęta taka liczba słuchaczy, która pozwoli właściwie organizować proces kształcenia.

MGR STANISŁAW KRASOWSKI
kurator oświaty i wychowania

OD AUTORÓW: ponieważ list sygnowany jest jednym czytelnym (E. Szostakowska) i czterema nieczytelnymi podpisami osób, które reprezentują ów wzmiankowany „kolektyw kierowniczy”, tak też będziemy się do naszego grupowego polemisty zwracać.

Dziwi nas, że prezentacja lokalnych kłopotów łomżyńskich szkół (przed tekstem „Karbid w kaganku oświaty”) opublikowaliśmy „Wstyd”, traktujący o obecnym i przyszłym trudnościach szkół podstawowych i przedszkoli zostały odczytane jako „robienie publicznej sensacji”. Lepiej zatem czekać w milczeniu na zaważenie się kolejnej szkoły, wprowadzenie nauki na trzecią i czwartą zmianę? Oczywiście, jesteśmy w stanie zrozumieć powody, dla których kolektyw kierowniczy ZSN wolałby, żeby wokół jednego przynajmniej tematu panowała cisza, lecz nie musimy ich akceptować.

Zarzut „publicznego ubliżania aktualnym i przyszłym nauczycielom” jest co najmniej słabo udowodniony. Użyliśmy wprawdzie sformułowania o „pedagogach raczej niedouczonej” w kontekście przedstawienia systemu kształcenia w dwuletnim studium — sześciolletniemu liceum pedagogicznemu, preferując to ostatnie, ale nie jest to chyba z naszej

strony zwykła złośliwość, skoro sam kolektyw kierowniczy oświadcza powyżej, że jak tylko zostaną zaspokojone najpilniejsze potrzeby kadrowe „będziemy przechodzić z cyklu dwuletniego kształcenia po maturze LO na sześciolletni cykl kształcenia po ósmo-klasie szkoły podstawowej”.

Jeśli chodzi natomiast o ubliżanie oraz kulturę i formę wypowiedzi, wydaje się nam, że kolektyw kierowniczy również poczynił sobie niezgorzej — choćby zarzucając nam, że wyzywaliśmy kogoś (kogo?) od „czarnych baranów” i to na łamach pisma. Gdy kolektyw wskaże palcem — uwierzmy.

Kolektyw pozwolił też sobie nazwać „zwykłymi plotkami” cytaty z dokumentów oraz wypowiedzi dyrektorów, co też nie jest chyba zbyt eleganckie. Nad zlymi warunkami studium nie rozwodziliśmy się, to prawda, lecz „wywołaj do tablicy” przypominamy kierownikowi ZSN, że nikt ich do tego budynku nie zapraszał. Dobrze jeszcze pamiętamy desperację rodziców uczniów ówczesnej Szkoły Podstawowej nr 1 i ich wypowiedzi na spotkaniach z władzami oświatowymi.

Pozostaje nam jeszcze odpowiedź na pytanie kolektywu o to, kto dał dziennikarzom prawo do publicznego zabierania głosu i uprawiania krytyki. Otóż

jest ona taka sama, jak na pytanie: kto dał nauczycielom prawo do nauczania i wychowywania.

Bylibyśmy również wdzięczni dyrektorowi Marianowi Moraczewskiemu, gdyby zechciał zająć stanowisko w kwestii rozwiązania problemów lokalowych szkół nie tylko z punktu widzenia dyrektora jednej z nich, ale przede wszystkim przewodniczącego Komisji Oświaty i Wychowania WRN oraz przewodniczącego ZNP.

A skoro już jesteśmy na etapie życzeń — wciąż nie możemy doczekać się wyjaśnień na temat inwestycji szkolnych od wojewódzkiego Stanisława Ciupę, Komisji Planowania i Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych.

I jeszcze parę zdań odnośnie wypowiedzi Kuratora Oświaty i Wychowania. Zespół Studiów Nauczycielskich istnieje drugi rok i nie wykształcił jeszcze żadnego nauczyciela, więc nasze obawy o przygotowanie przyszłych pedagogów są tak samo dziwne, jak Pańska pewnością co do ich wysokich kwalifikacji. ZSN powstał, podobnie jak wiele innych takich samych szkół w kraju, jesienią 1982 roku po wejściu w życie Karty Nauczyciela. Stworzyła ona możliwość wcześniejszego odchodzenia nauczycieli na emeryturę, należało więc liczyć się z brakiem nauczycieli nauczania początko-

wego, polskiego, matematyki; przez wszystkich w szkołach wiejskich. Powołanie pomaturalnych Studiów Nauczycielskich było więc jedyną drogą ratunku, a nie optymalnym rozwiązaniem problemu kształcenia nauczycieli w Polsce.

Nie głosimy też żadnych sensacyjnych nowości opartych na reaktywowaniu celów pedagogicznych. Najlepszymi argumentami są czynni pedagodzy z tymi właśnie wykształceniem. W tym trudnym uwierzyć, by Pan Kurator odmiennego zdania.

Nie uważamy, iż krytyka systemu kształcenia nauczycieli była obraźliwa dla nauczycieli tych placówek, nie pamiętamy, by chwalo no np. pedagogiczne przygotowanie magistrów renowanych uniwersytetów. Mimo to, czelnie nie obrażaliśmy się o to, choć trzeba wyznać, że nie bardzo braliśmy te krytyki do serca.

Zauważmy, że Pan Kurator zechciał zaspokoić naszą ciekawość w kwestii zapewnienia mieszkań dla nauczycieli wiejskich (w tym również przyszłych absolwentów łomżyńskich Zespołu Studiów Nauczycielskich, z tym niewielu prawdopodobnie znalazł pracę w samej Łomży) oraz perspektyw realizacji najważniejszych inwestycji szkolnych.



Wzrost niezapisanej karty

Jednak formalno-prawne zniesienie stanu wojennego nie powinno prowadzić do złudzeń, że oto otworzyła się nowa karta historii, która ma być ośrodkiem decyzji politycznej wypełnioną nowymi treściami. Jest to niemożliwe, ponieważ takiej niezapisanej karty po prostu nie ma. Do tego co użyty zwrot o formalno-prawnym zniesieniu stanu wojennego oznacza, że jego skutki w sferze moralno-emocjonalnej trwają nadal. Posiuz się metaforą medyczną: operacja była niezbędna dla uratowania życia pacjenta. Z tego punktu widzenia można uznać operację za udaną. Ale trwają jej skutki w postaci pooperacyjnego szoku.

Pamiętajmy: z bardzo autorytatywnych ust w swoim czasie padła formula — „zło konieczne”. Na czym ono polegało? Przede wszystkim na nieuchronnym spłaszczeniu problemów społecznych, wywołanym iluzją ich przejrzystej prostoty, zatem i możliwością ich rozwiązania przy pomocy rozkazów, których racjonalność będzie wzmacniona perswazją, a efektywność zapewniona kontrolą sprawna i uczciwą.

Wobec tego działacze aparatu państwowo-partyjnego oraz gospodarczego, nawyki do dyrektyw i nakazów, nie mogli nie traktować działalności wojska inaczej niż jako ulepszonej wersji ich własnego stylu pracy. Toteż wnioskowali: należy go utrzymać.

Jednak spojrzenie takie pozostawia poza polem widzenia inicjatywę indywidualną i społeczną. Tak faktyczna operatywność stanu wojennego, jak i pozorna aparatu cywilnego, inicjatywę po prostu wyłącza, z tym zastrzeżeniem, że wojsko wykazało w pewnym zakresie umiejętność korzystania z niej dla usunięcia jawnych mankamentów, wyciągnięcia wniosków w stosunku do ludzi jawnie indolentnych czy złej woli.

Temu wyłączeniu inicjatywy nie można się dziwić tudzież winić za nie wojska. W żadnym ustroju aparatu przymusu nie jest szkołą demokracji, nie służy też do pobudzania aktywności społecznej, co najwyżej może to być uboczny i sporadyczny efekt jego funkcjonowania.

Jeżeli zatem ożywienie inicjatywy zbiorowej i każdego obywatela z osobna we wszystkich sferach działalności narodu to alfa i omega procesu przemian i jedyna gwarancja rozwoju trzeba zatrzymać się nad tym zagadnieniem

jak to wygląda w sferze gospodarczej? Ekonomisci którzy objawiaja swoje *desinteressement* dla premian w sferze struktury polityczno-prawnej, powiadaja: „trzeba dac wiecej rzeczy”. Byla to odpowiedz sluszna w pierwszej fazie po 13 grudnia 1981 r. W sytuacji, gdy polki sklepowe zialy pustkami na wymiastowe dostawy rzeczy zaspokajajacych elementarne potrzeby bycia sprawa zycia i smierci.

Dzisiaj, po zażegnaniu katastrofy, formuła ta staje się fałszywa, bo i niewystarczająca. niemożliwa do realizacji. Czyż nie było już okresów, w których dawano" coraz więcej rzeczy? Lecz sposób ich rozdania nie pobudzał motywacji do wzrostu wydajności pracy, ponieważ jednocześnie działały kontrbóddce. A

sadniczo nie chcą się wiązać.

Po wdrożeniu innej sfałszowanej działalności Ruchu mogłaby być selekcja kandydatów do aktów wyborczych różnych szczebli. Ale i w tym przypadku monopol byłby szkodliwy, i powinna istnieć pewna rezerwa dla aktywności innych organizacji.

W strukturze wpływów, którą w swoich pracach odróżniam od ośrodków decyzyjnych, w aktualnej sytuacji, tj. od wielu lat, Kościół Rzymskokatolicki zajmuje naczelne miejsce, wzmacnione faktem, że ze sceny politycznej znikł taki czynnik, jak „Solidarność”, a ruch związkowy nie zakończył etapu organizowania się. Tę nową pozycję Kościoła znamionuje łatwy dostęp do ośrodka decyzji politycznej, wpływ sformalizowany przez utworzenie specjalnej instytucji kontaktowej (komisja wspólna).

Wytworzony stan rzeczy — mimo incydentalnych kontrowersji — umożliwił stopniowy wzrost wzajemnego zaufania episkopatu i ośrodka decyzji politycznej. Jego podstawą ze strony Kościoła mogą być wartości humanistyczne tkwiące w

rozdziału Kościoła od państwa? Odpowiedź adekwatna zarówno do normatywnego stanu konstytucyjnego, jak i do realiów — wydaje się oczywista. Nie ma i nie będzie sprzeczności między nowymi formami działalności Kościoła Rzymskokatolickiego, jeżeli pozostaną one w ramach struktury wpływow, a te ostatnie — nawet szeroko zakreślone — będą miały jasne i nieprzekraczalne granice, które wyznacza struktura polityczno-prawna socjalistycznego systemu.

Dwa kompleksy problemów, wyżej poruszone, ściśle wiążą się z kwestią dialogu wodącego do narodowego pojednania. W tej sferze ośrodek decyzji politycznej zainicjował pewien styl bezpośrednich, często niezapowiedzianych kontaktów z różnymi grupami zawodowymi. Są to niewątpliwie pozytywne, ale nie można ich uznać za wystarczające.

Ograniczanie się do dialogu rząd—społeczeństwo (tendencja, która rzuca się w oczy nie tylko z okazji oficjalnych wystąpień, lecz również z analizy materiałów prasowych) jest niewłaściwe, gdyż jest to typ

z kolei one staną się bodźcami wydajności.

z zagadnieniem tym ściśle związane są inne formy samorządu, nie tylko pracowniczego, nie tylko spółdzielczego, ale i — terytorialnego. Kluczowe znaczenie ma tu nowa regulacja ustawowa, dotycząca rad narodowych i samorządu terytorialnego. W toku dyskusji nad nią powstało wiele nieporozumień, z których najbardziej żenującym było traktowanie (na szczęście, przez niewielkich) samorządu jako instytucji burżuazyjnej (!) albo przeciawianie go radom narodowym. I to wszystko wśród deklamacji na temat prawowierności marksizmowi-leninizmowi.

Na ten temat można by skompletować sporą biblioteczkę, z której wyzierałaby prawdy elementarne. Każdy ośrodek decyzji — centralny i pośrednie — powinien z tych prawd wyciągnąć wnioski praktyczne, ponieważ tego nieprzepartego dążenia do wysuwania inicjatyw i własnego układu w ich realizację nie wytrzebi. Dlatego wszelkie dążenie do monopolizacji inicjatyw społecznej w ramach struktury politycznej prowadzi do kryzysu.

Mając na uwadze odblokowanie aktywności rozpatrzymy najważniejsze instytucje w takim ujęciu, jak narzucają się one uwadze społeczeństwa. PRON — w założeniu wszechogarniająca organizacja polityczna nie zapuszcza jeszcze mocnych korzeni. Nie wnikając w przyczyny tego zjawiska trzeba stwierdzić, że na drodze uzyskania legitymacji czyni pewne postępy. Przyczyniła się do tego udana ingerencja w toku debaty legislacyjnej nad ustawą o radach narodowych, dzięki czemu jej osłabiony kształt — jako bardziej demokratyczny od poprzednich wersji — jest możliwy do zaakceptowania przez znaczne odłamy społeczeństwa. Z uznaniem spotykają się też skuteczne interwencje PRON-u, wywołane protestami przeciw lokalnym nadużyciom oraz indolentnym czy sromupowanym przedstawicielom władzy.

Alę są to poczynania, które mieszczą się w ramach nawet autorytarnego systemu. Toteż PRON, jeżeli chce poza nie wyjść, nie może być w społecznym odbiorze postrzegany jako rozbudowana sieć udoskonalonych biur do rozpatrywania skarg i zażaleń.

Jedyną racją bytu PRON-u, która - notabene - gwarantowałaby jego naturalny rozwój, byłoby po pierwsze: jego funkcjonowanie jako izby clearingowej dla inicjatyw organizacji społecznych, grup nieformalnych, a nawet jednostek, jeżeli reprezentują pewien poziom kompetencji. Inicjatywy te, po selekcji w publicznej dyskusji, mogłyby być przygotowane do wdrożenia decyzyjnego. Oczywiście należałoby się wyrzec ambicji monopolistycznych i współpracować z autonomicznymi grupami konstruktywnej krytyki, które z PRON-em na razie czują za-

ustroju socjalistycznym. Ale to zależy od ich wdrażania w praktykę, która zadecyduje o odpowiedzi na pytanie: czy i w jakim stopniu system w Polsce jest reformowalny? Natomiast ze strony ośrodka decyzji politycznej podstawę tę będą tworzyły takie działania, które obecny kształt ustroju demokratyzują, co wzmocniłoby wspomniane tendencje w Kościele. Gdyby takie właśnie sprzężenie zwrotne zaczęło funkcjonować w sposób ciągły, gdyby owe zaufanie dalej rosło, mogłoby to stanowić początkowanie polskiego kompromisu historycznego. W tej dziedzinie uruchomienie — w skali społecznie dostrzegalnej — polskiego odgałęzienia watykańskiego Sekretariatu ds. Niewierzących mogłoby mieć znaczenie, które trudno przecenić.

Przedstawiona perspektywa rodzi naturalne pytanie, czy ten kierunek przeobrażeń nie prowadzi do podważenia konstytucyjnej zasady

dialogu „w pionie”. Jeżeli nie jest to dialog wyborczy, pełną inicjatywę zachowuje centralny ośrodek decyzyjny — wyznacza temat, sposób i czas jego omówienia. To ograniczenie może prowadzić do monolityzmu.

Wobec tego — jeżeli poważnie myślimy o pojednaniu narodu — dialog „w pionie” musi być w szerokim zakresie dopełniony dialogiem „w poziomie”. W wyniku wymiany zdań między autonomicznymi grupami społecznymi — formalnymi i nieformalnymi — popłynąłby nowy strumień informacji, wskazujący różne szczegółowe alternatywy, które uwolniłyby ośrodek decyzji politycznej od monopolu aparatu biurokratycznego w procesie przetwarzania danych w decyzje. Jednocześnie dialog „w poziomie” w naturalny sposób uruchomiłby mechanizmy inicjatywy społecznej.

STANISŁAW EHRLICH



Twórczość Henryka Syski, licząca prawie 50 tytułów (od chwili debiutu w roku 1946), w całości obejmuje historię dwóch regionów: kurpiowskiego i mazurskiego. Mimo to pisarz wzbiera się przed automatycznym zaszufladkowaniem jego nazwiska pod hasłem „Twórca kurpiowski” czy „mazurski”; mówi, że jest to zawężanie jego pisarstwa. O fascynacji autora „A w Zielonej, w Myszynieckiej” przeszłością właśnie tych ziem nie przesądziło wyłącznie miejsce urodzenia (wieś Damięty w województwie ostrołęckim).

— Moje gniazdo — wspomina — to drobnoszlachecki zaścianek. W tym zapadłym kącie, z dala od miasta, mieszkańcy zatracili poczucie polskości. Nieufnie i wrogo powitali Niepodległość, bo „za Ruską mniejsze podatki”. Dopiero szkoła, którą otwarto we wsi po I wojnie światowej, zaczęła zmieniać to nastawienie. Kształtowała uczucia narodowe, ale w sposób szczególny: przez wpajanie szacunku do miejsca urodzenia. Szkoła była wspierana konsekwentnie przez prasę religijną oraz organizacje młodzieżowe. To podkreślanie na każdym kroku roli regionu w życiu człowieka, jego wkładu do skarbcza narodowego rzeczy najwartościowszych, pracowało na mnie jako pisarza. Gdy już zacząłem iść drogą pisarstwa, zawsze pamiętałem o tym, żeby ziemię rodzinną ukazać jako element zbiorowej mądrości. „Historia przodków zawsze ciekawa jest dla tego —

siarek i traktorów ułoży się w piękny harmonijny duet z głosem rozkochanej dziewczyny”. Nigdy tego zamiaru nie spełniłem, choć naciski były silne.

Gawęda to ulubiony gatunek pisarski Henryka Syski. Jest ona barwna, poprzetykana wierszami, przysłówkami i legendami. Takie bogactwo materiałów wymaga pasji szperackiej i najróżnorodniejszych zainteresowań.

— Moje książki zawdzięczać zachłannej lekturze dawnej prasy — odświeżają tajemnice swego warsztatu pan Henryk. — Pracę magisterską „Od Kmiotki do Zaranian” poświęciłem prasie ludowej; ówczesne roczniki, kalendarze, pisma (jak „Tygodnik Ilustrowany” czy „Gazeta Świąteczna”) były znakomicie redagowane. Stanowią nieocenione źródło wszelkich wiadomości. Prócz tego, od momentu rozbudzenia moich zainteresowań regionalizmem, tropiłem latami pozycje z tą tematyką związane. W mojej „kuchni” — pisarz wskazuje ścianę w gabinecie, szczególnie wypełnioną książkami — znajduje pan przeróżne „przyprawy”; bez nich książki nie miałyby smaku, mimo erudycyjnego bagażu.

Od 1935 roku, czyli czasu przynależności do Związku Młodzieży Ludowej, był czynnym działaczem ludowym. Zajduje to odbicie w jego pisarstwie, gdy nagle, z głębin przeszłości, przez analogię, włącza się w polityczne dysputy, które wy-

znów fałszujesz?” Odparowałem mu: „Miłośnicy historii nie muszą jej fałszować, od tego są zawodowi dziennikarze”.

Puszczą Kurpiowska w twórczości autora książki „Kurpiak siedzi w lesie” otrzymuje wymiar mitologiczny. Jawi się czytelnikowi jako „raj utracony” ludu kurpiowskiego.

— Nie tyle raj utracony — prostuje to spojrzenie pan Henryk — co kolebka, „arka przymierza”. Z tej kolebki wyemigrowało na zaw sze 20 proc. mieszkańców. Człowiek pozbawiony swojej kolebki wynaturza się, dzieje się. Lud puszcząński posiada surowy, ale sprawiedliwy (niepisany) kodeks etyczny. Jeżeli emigranci zdołali go sobie przyswoić, gdziekolwiek ich los rzucił, pozostawali sobą. „Żeby to drzewo uschło — usłyszałem raz we wsi łomżyńskiej — ciężkie byłoby życie człowieka”. Niszcząc przyrodę odrywamy człowieka od podstawowych wartości. Wiadysław Orkan mówił: „Nie podcinajcie korzeni swego żywota”. Puszczą Kurpiowska spełnia dosłowną i metaforyczną rolę tych „korzeni”. Przypomina, skąd wyszliśmy, i pozwala odnaleźć siebie w skomplikowanym współczesnym świecie.

Swoje książki doprowadza pisarz do roku 1945. Nie przekracza tej cezur.

— Są tego dwa powody — wyjaśnia Henryk Syska. — Pierwszy stanowią „rzeczy zatrważające”, jak



RAJ UTRACONY



powtarzałem za rosyjskim myślicielem, Mikołajem Karamazinem — który go dzień mieć ojczyznę”. Nie interesuje mnie tani sentymentalizm wspominkowy. Staram się w dziełach Kurpiowszczyzny i Mazur odnajdywać momenty swoiste, niepowtarzalne, a jednocześnie powszechne.

Pierwsze książki Henryka Syski ukazały się w latach pięćdziesiątych. Był to czas odcinania się od przeszłości; niemal wszystko, co miało miejsce przed rokiem 1945, było uważane za wsteczne.

— Pisanie o regionalizmie, o historii, było niemile widziane, ale oficjalnie nikt zakazu nie wydał — opowiada pisarz. — Ja to niedopowiadanie wykorzystałem. Zdawałem sobie sprawę, że odciecie od historii wytworzy bądź pogłębi tani szowinizm. Wówczas nie rozumiano, że bez rzetelnego nauczania historii własnego narodu nie zbuduje się świadomości socjalistycznej, a wychowując na nihilizmie narodowym, nie tylko socjalistycznej, lecz żadnej świadomości nie ukształtujemy. W tamtych latach z pełną premedytacją wykorzystywałem znajomości w Głównym Urzędzie Cenzury, by przemycić swoje książki. Przynosiłem maszynopisy, cenzor sadzał mnie i mówił: „Henryk, czy ty głupi, żeby ja ciebie cenzurował”. Pewien haczyk trzeba było płacić zapowiadając książki „O wiosnie, w której głos ko-

buchły akurat w trakcie pisania kolejnej pracy. Przydaje to jego historycznej twórczości publicystyczny akcent.

— Wszystkie moje książki — wyjaśnia te wycieczki z przeszłości w teraźniejszość — wynikały z auto-sugestii; nawet tak drobna rzecz, jak „Od Pułtuska do Myszynca”. Przed wyborami w 1945 roku zwrócił się do mnie przedstawiciel Frontu Narodowego, żebym opisał niedostatek na przedwojennych Kurpiach. Sprawa była politycznie programowa, ale leżała w utajonych planach moich zainteresowań. Adam Chętnik tę „syntezę ubóstwa kurpiowskiego” wysoko ocenił. Każda książka, którą napisałem, jest dokumentem mojej świadomości i możliwości warsztatowych w danym czasie. Znajdujące się w mojej twórczości tzw. „akcenty” zawsze stykały się z moimi osobistymi poglądami. Pilnie przestrzegałem rozdziału między „pisarzem” a „działaczem”, pomny nauk profesorów, otrzymanych podczas studiów politologicznych. Prof. Bujak mawiał nam: „Jak najdalej bądźcie od czynnej działalności organizacyjno-politycznej, jeżeli chcecie zostać naukowcami, bo taka praca odepcha”. Dlatego działałem społecznie. Pisarz powinien iść pod prąd, być przekorny. Jeśli popłynie z prądem, rozbije się. Kiedyś znajomy historyk półzartem zapytał: „No, co tam

określił Gomułka lata pięćdziesiąte, o których nie piszę, by nie kłuczyć. Drugi jest bardzo prozaiczny. Kusi mnie zbadać tego, co z tradycji przeniknęło (dobrego i złego) do współczesnej wsi kurpiowskiej. Chciałbym pójść w ślady Kolberga od chaty do chaty, ale na to potrzeba czasu, dobrej organizacji, a przede wszystkim hojnego mecenasa. Głogier przeproszał czytelników za pewne braki w swojej pracy, ponieważ nie miał środków materialnych. Gdyby zdobył mecenas, książki byłyby lepiej udokumentowane. Mogę to za nim dzisiaj powtórzyć.

Gościnnie po kurpiowsku dom na olsztyńskiej Starówce odwiedza wielu znanych twórców. Sam gospodarz był uczestnikiem wielu historycznych wydarzeń z najnowszej historii Polski Ludowej. W przyszłości myśli o spisaniu pamiętników.

— Teraz jeszcze za wcześnie — mówi z młodzieńczą werwą — za dużo mam w sobie dynamiki. Czeka mnie jeszcze dużo przygód pisarskich z mojego stałego kręgu tematycznego. Mam już na ukończeniu kolejną książkę, tym razem o pszczołach, koronie zajęć chłopskich na Kurpiach, oraz drzewach w polskiej wierzeniach i obyczajach wiejskich.

ADAM JERZY SOCHA
Fot. GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

Jestem samotną kobietą. W sie wojny byłem sanitariuszką, brałem udział w Powstaniu Warszawskim. Nie żyłam nigdy dla siebie. Przez całe swoje życie cieszyłem się uznaniem wśród ludzi. Od nad trzech lat jestem krzywym, przez bezduszną i nieuczciwą biotę, ob. Wiesławę Zarychtę, muszę się hodować drobniemi wieniarzami i piactwami zadanego stem właściciela działki o powierzchni 2,60 ha. Brak zrozumienia ze strony władz zmusił mnie do odstąpienia części działki za pr. w przeprowadzeniu remontu budynków.

W 1980 roku, nie przypuszczając ukrytego podstępów, zawarłem umowę z małżeństwem W. i H. Zarychtami, którzy w zamian za kaucję gruntu pod cieplarnię i dom z wiatrakami się przeprowadzić do moich budynków i doprowadzić światło elektryczne. Ponieważ W. Zarychta nie miała jeszcze prawnień do nabycia działki, warietyśmy umowę tymczasową, jak się później okazało, ona miała mnie, gdyż sfałszowała umowę, na której podstępnie była mój podpis. Umowa była dla mnie bardzo niekorzystna, nie zostały wykonane żadne z wartych tam warunków. Obytelka nie doręczyła mi rachunku za poczynione prace celem teczowego rozliczenia. Wykonała le szkody, bo zdemolowała m. in. dach i piwnicę i dach sionki. Okazało się, że kobieta chce mnie wywłaszczyć z działki. Odebrała mi całkiem warunki do pracy. Kiedy postawiłam zwrócić jej ułożony w kładanie energii elektrycznej w finansowy, okazało się, że sprawa trafiła do sądu. Tam szalałam wiele kłamstw i byłam mawiana do dokonania odpisu taryfowego.

Oplacam podatki, a ze swojej działki jestem wulgarnie wydzana, czynione też są próby nięcia mnie do domu starców, nawet umysłowo chorych. Nie wyciągam ręki po jałmużnę, le szukam prawdy i pomocy, mnie więcej nie krzywdzono.

BARBARA PRZEGALIN
JAGODNE k. P.

W „Kontaktach” z 15 stycznia 1984 roku ukazał się artykuł Danuty i Aleksandra Wroniszewskich pod tytułem „Nerwowość noworodek”. W związku z tym chciałbym sprostować, że mojej wypowiedzi nie miało miejsce stwierdzenie: „kobieta z ciekawością, której wprowadzenie do świata kradzieży, ale robi to systematycznie mąż przepijający światło skromnych dochodów”.

Podczas udzielania wywiadu powiedziałem, że być może mój mąż, ale moim zdaniem przy cz. dzieci i przy niskich dochodach należał się jej zasilek.

HENRYK Syska
I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR w Łodzi „Narew” w Ł.

Od autorów: Rzeczywiście, Zada wypowiedział się na temat bardzo taktownie, lecz fragmentem poświęconym tzw. „przyjemnym komentarzom” nie toważyliśmy już dokładnie słów. Zada, ale omawialiśmy to, o słyszeliśmy również od innych mówców.

Składam podziękowanie Komitetowi Nagrody i Medalu im. Zygmunta Glogera za wyróżnienie.

Wyrażam uznanie redakcji „Kontaktów” za powołanie do życia nagrody glogerowskiej, upowszechnia zastęgi badacza, też za wprowadzenie wyjątkowej pięknej formy Medalu.

MEDARD TAJCZYŃSKI
członek zespołu redakcyjnego „Dzieli wszystkich”
Oskara Kolb



kontakty kontaktów

Tydzień przed zebraniem członków Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Grajewie każdy z nas otrzymał zaproszenie. Było bardzo ładne, specjalnie dla nas, członków, wydrukowane. Zawierało porządek obrad, który został przedstawiony aż w dziesięciu punktach. Zarząd tą drogą wystąpił nawet spóźniejsze pozdrowienia i apel do wszystkich członków, aby wspólnie radzili o sprawach Spółdzielni, o jej osiągnięciach i niedomaganiach, aby ocenili również obsługę rolników i przebieg kontraktacji skupu. Miło było czytać takie zaproszenie, choć Zarząd Spółdzielni nie zapomniał o wykreśleniu figla swoim członkom. Otóż nie została podana godzina rozpoczęcia zebrania i miejsce, gdzie miało się ono odbyć. Sporo się nagłowiliśmy nad ustaleniem tych najważniejszych danych. Interwiewowałem nawet nasz sołtys i wtedy okazało się, że zebranie odbędzie się u niego o godzinie 12.00.

Na to ważne sprawozdawczo-wyborcze zebranie Zarząd Spółdzielni wydelegował swojego przedstawiciela. Przedstawiciel najpierw nas poinformował, wpisał na listę, pozwolił się na niej podpisać, a następnie pospiesznie odczytał sprawozdanie z działalności Zarządu i zaproponował wybranie jednego rolnika na Walne Zgromadzenie. Przy okazji zostaliśmy pouczeni, że rolnicy, którzy mają wpłacony pełny wkład członkowski oraz tzw. wpisowe, nie są jeszcze członkami, lecz tylko kandydatami spółdzielni i nie mają prawa zabierać żadnego głosu. Do takich należą również ja, bo nie przesłałem jeszcze przez tę roczną drogę kandydowania.

Przedstawiciel Zarządu poinformował nas także o ostatnich nowościach. A więc ZSL wystosował apel do wszystkich rolników o sprzedanie państwu jednego tucznika. Gminna Spółdzielnia „SCH” zadeklarowała się przyjęcie takiego tucznika i zapłacić za niego po cenach kontraktacyjnych pod warunkiem, że rolnik zakontraktuje dalsze sztuki. Wobec takiego warunku wątpliwe, czy apel ten osiągnie cel. Próbowaliśmy rozpocząć dyskusję, chciałem powiedzieć o dobrych i złych poczynaniach spółdzielni, ale przedstawiciel Zarządu zwrócił mi uwagę, że jestem tylko kandydatem, że nie wysyłano do mnie żadnego zaproszenia, więc nie mam prawa wygłaszać krytycznych uwag. Wytworzyła się przykra atmosfera i inni członkowie zrezygnowali z dyskusji oraz przedstawienia własnych wniosków. A szkoda! W ten sposób zebranie zostało „odfajkowane”, a my właśnie tak radziliśmy o sprawach spółdzielni, o jej osiągnięciach i niedomaganiach. Nawet nikt nie protokołował, bo nie bardzo było co pisać.

Teraz zwracam się z apelem do całej administracji, aby była bliżej rolnika, abyśmy swoje sprawy w Gminnej Spółdzielni mogli załatwiać nie tylko przez barierki i okienka, bo to nas poniża, a my na to nie zasługujemy. Piszcie o barierkach nie mam na myśli barier na punkcie skupu żywności, bo tam są one potrzebne, ani okienka do kasy, które również jest niezbędne, lecz myślę o barierce, którą odgradziliście się od rolników.

GENOWEFA LUTKIEWICZ
UŚCIANKI
gm. GRAJEWO

W „Kontaktach” z 29 stycznia tego roku przeczytałem list Ziemka i Ewy Deptuły o zaginięciu ich pieska. Bardzo mi przykro, że ktoś wyrzucił im taką krzywdę. Ale Ziemek na pewno będzie miał jeszcze kiedyś pieska.

Ja mam większe zmartwienie, mnie zaginął mój tatuś, którego bardzo kochałem. Może i on mnie kochał? Ktoś, kto mi go ukradł, nie wie, jaką wyrzucił mi krzywdę.

Zyczę ci Ziemku jeszcze ładniejszego pieska.

WALDEK JAKUBOWSKI
ŁOMŻA

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

szczegółności, powiedział: — Tak sobie, chłopcy, miarkuję, patrząc jak radzą spółdzielcy z Rykain, że gdyby w ten sposób gospodarzył ktośkolwiek z nas, dawno poszedłby z torbami. A oni co? Wychodzi mina to, że kołchoznik ma pożytek z państwa, a państwo z chłopca. Czy wam, chłopcy, daje to coś do myślenia?

Siedząc w kucki pogwarzyli i powspominali wczesne lata pięćdziesiąte, kiedy do Liksz na jednego chłopca przyjeżdżało po kilku agitatorów i mimo tego nie znalazł się taki, który dałby przekonać się do „wyższej formy gospodarowania”. Jednak na postawione przez Zalewskiego pytanie nikt jakoś nie próbował odpowiadać.

Wkrótce okazało się, że padło ono na podatny grunt. Od tamtego ranka rajcowano i debatowano, czasem skakano też sobie do oczu, nawet po zamknięciu zlewni mleka. To rajcowanie i debatowanie skończyło się tym, że prawie wszyscy chcieli mieć pożytek z państwa. Wśród nielicznych, którzy nie przystapili do rolniczej spółdzielni produkcyjnej w Likszach, znalazł się Antoni Gzdyl. Jan Brzoza postanowił Gzdylowi przemówić do rozumu jako prezes straży i człowiek powszechnie szanowany.

— Niedaleko ci tak samemu — zagaił ostrożnie.

— Bóg zapłać za dobre słowo. Ale nie narzekam — odpowiedział Gzdyl, znany z niepołałowanego samochwalstwa.

— Ja tam nie lubię się wtrącać. Wszyscy jednak widzą, że mając kaleką żonę, też masz kalekie życie. Takie gospodarzenie w pojedynkę, bez pomocy baby, to żadna robota. Gdybyś poszedł do spółdzielni, byłoby lepiej i tobie, i jej.

— Ja tam jestem za tym, żeby ten, kto nie lubi się wtrącać, nie musiał tego robić. Dlatego, dobry człowieku, idź swoją drogą, a ja pójdę swoją. To jeszcze powiem, że nie przepadam za chodzeniem w gromadzie. Myślę więc, że do żadnej spółdzielni nie dam się zapisać.

Jan Brzoza pewnie w ogóle nie rozpoczynałby tej rozmowy, gdyby znał Antoniego Gzdyla cokolwiek lepiej. To znaczy: cokolwiek lepiej niż każdy z mieszkańców Liksz, być może — nie wyłączając jego własnej żony, Teresy Gzdylowej, z domu Wojnowskiej. A przynajmniej lepiej niż ona zdołała poznać go przez rok, kiedy był w Wojnowskich pomocnikiem dwóch kobiet, matki i córki, która zdołała dowiedzieć się tylko tyle, że zjawiał się z lasu; niewykluczone, że należałoby wiedzieć o nim więcej, niż powiedział jej po ślubie, czy ona sama zdołała się dowiedzieć. Nie dał jej po temu szans, bo przecież nie zawiózł przyszłej żony do swej rodziny ani tej rodziny nie zaprosił na ślub.

Czyli dla dwóch samotnych kobiet, żyjących na uboczu wsi, pozostał także kimś anonimowym, kto zjawia się w wytartym garniturze i nawet nie zza konkretnego lasu. Wystarczyło wtedy raz na niego spojrzeć, żeby wiedzieć, że jest nikim. Kto spojrzal jeszcze raz, powiedział: Antoni Gzdyl zjawiał się w Likszach i wypatrzył dwie samotne kobiety po to, żeby być kimś.

Potem nie trzeba było nawet patrzeć. Wystarczyło posłuchać, jak — siedząc w kucki na piętach w zlewni mleka, w sklepie albo kuźni — wytrwale perorował o tym, co robi i do czego dojdzie. Nigdy jednak ani jednym słowem nie zdradził się, kim był, kiedy go tu, w Likszach, nie było.

Ci, co go słuchali siedząc na rampie w zlewni mleka, w sklepie albo w kuźni, wiedzieli, jak bardzo Antoni Gzdyl starał się wykreślić i zatrzeć ślady pozostawione po tamtej stronie jakiegoś lasu. Starał się zapomnieć o ojcu, robotniku leśnym, który jeżeli nie siedział do lasu pijany, to już na pewno pijany wracał; zapomnieć o dzieciństwie bez dzieciństwa; o szkole, do której w upał czy śnieżną zadymkę chodził w podartych ojcowskich gumowcach; wręczyć zapomnieć o tym, że tym bardziej pragnął choćby raz być wywyższony, im bardziej przez wszystkich był poniżany.

Zmagając się z pragnieniem wywyższenia — z przemijających lat wznosił coraz rozleglejszy gmach upokorzeń; aż do tamtego dnia, kiedy jeden z kompanów ojca zdjął z siebie, przyzwoity jeszcze, garnitur i sprzedał go Antkowi za pół litra wódki. Ten założył go natychmiast, wyszedł z domu i już go więcej w wsi za lasem nie widział.

Przez przypadek, a może przez coś, co fataliści nazywają przeznaczeniem, trafił na pole, gdzie obie kobiety — matka sterana pracą, kaleka z obciętymi w siekarni palcami prawej dłoni, i ledwie siedemnastoletnia córka — układały snopki na wozie. Matka patrzyła, jak przybysz smyrza bez wysiłku tymi snopkami na wóz. Bieda i harówka zabili w niej wszelkie uczucie, oglądała więc Antka Gzdyla bez odrobiny sympatii czy podziwu; w jej wzroku było co najwyżej zainteresowanie, z jakim mogłaby lustrować konia albo używany pług; przeświadczenie, że dostrzeże skazy, ale i tak kupi.

Dziś trudno ustalić, jakiego ta starucha (po przecięciu nie siedemnastoletnia, nieśmiała i załakmona Teresa, o której we wsi mówiono, że gdyby ją jakiś chłopak poprosił, nie miałaby śmiałości odmówić) użyła sposobu na zwabienie przybysza do domu. Zresztą: może niepotrzebny był jakikolwiek fortel?

Właściwie pozostał bez określonego statusu. Ale już wtedy siadał w kucki na rampie. Najpierw słuchał, wkrótce jednak co i rusz ośmielał się wtrącić jakieś słówko, którym zaznaczał swoje istnienie wśród tych, co na rampie.

Któregoś ranka ten przybłęda bez statusu — przecież nawet nie parobek, bo nie było we wsi takiego, który widziałby Antoniego Gzdyla kiedykolwiek wysupłującego z kieszeni najmniejszy grosz — rozpoczął nachalną, zagłuszającą innych przemowę, i już wszyscy na rampie wiedzieli, że matka Teresy Wojnowskiej dała mu sposobność do poproszenia, a jej — żeby nie śmiała odmówić.

W dwa dni po ślubie Teresy u Gzdylów rozpoczęto omioty. Dzień był zimny i wietrzny. Nazajutrz pogotowie zabrało Teresę Gzdyl do szpitala z niedowładem nóg. Lekarz orzekł, że musiała pracować w silnych przeciągach. Zapowiedział też, że nie może liczyć na szybką poprawę zdrowia, a po leczeniu szpitalnym musi wyjechać na rehabilitacyjne zabiegi do sanatorium.

Po tygodniu do szpitala przyjechała stara Wojnowska z zięciem, aby zabrać córkę do domu.

— Co będziesz — mówiła — leżała tu po próżnicy. Zależysz się jak nic. Wrócisz do domu, to się rozruszasz. Bój się Boga, dziewczyno, przecież do wykopków trza iść. Ja z moim skutem niewiele mogę.



GRZEGORZ HOŁUB

— Ale lekarze mówią, mamę żeby leżać — próbowała oponować Teresa.

— E tam, lekarze! — z lekceważeniem powiedział Antoni Gzdyl. — Na to oni tu są, żeby wzbraniać.

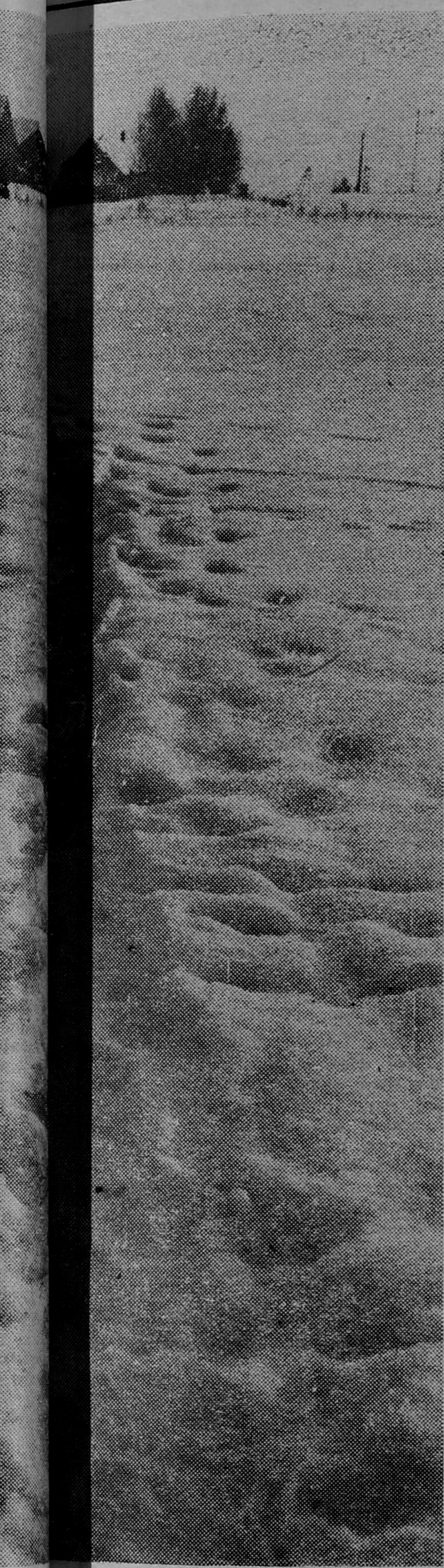
Ordynator, któremu przedstawił powziętą decyzję, bezradnie rozłożył ręce: — No cóż, szpital to nie więzienie. Siłą nie zatrzymamy. Tylko ostrzegam panią przed ciężką poród skończy się paraliżem.

Antoni Gzdyl nie przejął się ostrzeżeniem lekarza. W jego domu za lasem nikt nigdy nie roztkliwiał się nad chorem, a już na pewno nie zaprzętał sobie głowy tym, co lekarze wymyślili. Nic więc dziwnego, że w niecały rok po pobycie w szpitalu Teresę znów zabrało pogotowie, tym razem na poród. Urodziła syna. Dali mu na imię Maciek.

— Myśmy panią ostrzegali — przypomniał lekarz. — Szczęście w nieszczęściu, że wychodzi pani z tego sparaliżowana tylko po pas.

Poruszała się po kuchni na invalidzkim wózku. Stara Wojnowska krzątała się z zacięciem w polu i w





obejściu. Z rzadka zaglądała do domu, niewiele więc mogła pomóc córce, najwyżej tyle, co przy kąpielach. Sterana życiem i wysysającą do ostatka pracę — odeszła, gdy Maciej miał trzy lata. Teraz on zastępował babkę w noszeniu wody i drzewa. Ludzie wyjść z podziwu nie mogli widząc tego, ledwie trzylatka, poważnego, nie umiejącego chyba nawet po dziecięcemu śmiać się, który znosił do domu drwa albo — z zapisaną przez matkę kartką — szedł po zakupy.

Antoni Gzdyl krócej siedział teraz w kucki na rampie, ale za to perorował coraz gwałtowniej o tym, ile ma już krów, po ile prosił będzie od maciory i kiedy skończy oborę. Jednak coraz mniej mówił słuchaczy. Ci, co postanowili mieć pożytek z państwa, nie potrzebowali już przychodzić do zlewni. Jeżeli któryś przysiadł się w kucki, robił to raczej ze staro-przyzwyczajenia.

Do spółdzielni poszli głównie golce, którym gospodarstwa szły w coraz większe długi, a oni sami miesiącami nie oglądali świeżych ziółówek, bo ziółówki ze sprzedaży zboża, mleka, świń przejmowało państwo; ono też pokrywało długi w bankach, z tego wypłacało ekstra grosz za wydzierżawienie wniesionej do spółdzielni ziemi i za wniesione zabudowania gospodarcze, nie mówiąc już o ekstra pensji, płaconej co miesiąc bez pytania, jak rośnie w polu i co chowa się w oborze.

Nie dziwnego, że spółdzielcy mieli się za najpierwszych w Likszach. Kiedy indywidualny uganiał się za lemiem i kosa, oni patrzyli, jaką kupić wersalkę i jak wcisnąć się na listę do zakupu automatycznych pralek, a potem, z napięciem większym niż gracz fotolotka, śledzili losy przedpłat na samochody. Nie więc dziwnego, że nie czuli już potrzeby siadania w kucki na rampie, gdzie rej wodził Antoni Gzdyl.

Ale i on siedział krócej, gdyż przy tych krowach i świnich musiał przynajmniej tyle zrobić, żeby nie pozdychały z głodu. Ludzie podśmiewali się z Gzdyla, że od kilkunastu krów przynosi tyle mleka, co renciści od jednej sztuki, ale on nie dbał o to gadanie. Miernikiem jego sukcesu, tego, że jest kimś, wywyższonym ponad innych, była nowa obora i ilość krów w tej oborze, a nie pożytek, jaki to wszystko przynosiło. Za pieniędzmi nie gonił. Niewielkie miał potrzeby. Wystarczył mu ten garnitur, co go przed laty kupił za pół litra w rodzinnej wsi za lasem.

W Likszach zaczęto mówić, że sparaliżowana Teresa Gzdylowa jest

znów w ciąży. Z ośrodka zdrowia przyjechał lekarz i zapowiedział Antkowi, żeby żonę zawiózł do szpitala na kilka tygodni przed porodem.

— Pewnie że zawiozę — opowiadał potem na rampie. — Co miałbym nie zawieźć. Wielkiego pożytku z niej nie mam, żebym musiał ją na gwałt w chałupie trzymać.

Ale nie zawiózł. Jakoś tak schodził dzień za dniem i ciągle nie było czasu. W końcu nadeszła pora, że ona musiała powiedzieć:

— Antek, poszedłbyś po pogotowie.

— Czujesz coś?

— Czuć nie nie czuję, ale wygląda na to, że już.

— Kapinkę wstrzymaj się, wyprowadzę krowy tylko. Raz—dwa się z tym uwinę.

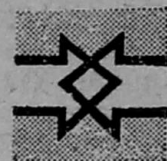
Zanim jednak zdążył się uwinąć, Teresa kazała Maćkowi pędzić po sąsiadkę. Jak wrócił, nie trzeba było lecieć po pogotowie.

Sąsiadka coś przez tydzień przychodziła kąpać siostrę Maćka, Małgośkę. W Likszach zapomniano o Gzdylach. Jakoś tak zostawali na uboczu — Tereska ze swoim nieszczęściem i ten jej mąż, zaharowany bezrozumnie, ciągle w brudnych łachach na grzbiecie, gadający nachalnie i bez ustanku o prosiakach i maciorach, a nawet ich dzieci, zaniebane i zahukane, nie znające dziecięcych zabaw. Niby mieszkający w środku wsi, ale przy bocznej uliczce, nie pasowali już do domów pyszniących się miastowymi meblami i miastowym życiem. Wic nie dziwnego, że kiedy ucihły opowieści o urodzeniu się Małgośki, głucho było w Likszach o Teresie Gzdylowej. Przypomniła się dopiero w parę tygodni potem — na inwalidzkim wózku z Małgośką na kolanach. Wózek pchał czterolatek Maciek, zabiedzony, niewyrośnięty, wyglądający co najwyżej na trzy lata. Patrzyli ludzie z okien i zza płotów, co poniektórzy wychodzili nawet na ulicę.

O Teresie Gzdylowej usiłował przypomnieć Jan Brzoza po tym, jak któregoś dnia przed sklepem zastał ją w tym wózku na deszczu. Okazało się, że sklepowa, Wanda Łuszczczyk, zabrała do sklepu dzieci — zostawiając Tereskę, bo nie dałaby rady wnieść wózka po schodach. Jan Brzoza opowiadał o tym zdarzeniu na wiejskim zebraniu; rozprawił tak przejmująco, że aż się ludziom serce krajało i każdy spuszczał wzrok, żeby nie spojrzeć drugiemu w oczy.

Fot. GABOR LÖRINCZY

spiećcia



9
ONTAKTY
19 II 1984

We wsi Uścianki (gmina Grajewo) odbyło się spotkanie mieszkańców z przedstawicielami Urzędu Gminy i geesu. Reprezentant Urzędu, spojrzawszy w górę, podniósł palec i rzekł: „To, że uzyskaliśmy na naszym terenie wysokie plony, nie jest zasługą rolników, lecz aury oraz — tu zrobił pauzę i rozwarł ręce — administracji”. Pierwszym po Bogu dotychczas był Lucyfer.

*

W Pobikrach, Kocach, Basiach i innych wsiach gminy Ciechanowiec grasuje od pewnego czasu gang złodziei królików, którzy po wygarnięciu z klatek kilku futrzaków — rozrywają jednego, pozorując krowożerczą robotę psów i innych drapieżników. Przewidujemy, iż niebawem powstanie najniezwyklejszy gryps świata: „Kochany piesku, wyrób mi alibi”.

*

Okazuje się, że zasłużone i wyedukowane białe damy stanowią w Łomży wielki potencjał kadrowy. Niektóre dla objęcia intencjonalnie ważnej posady administracyjnej nie muszą nawet wykazywać się jakimkolwiek stażem; wystarcza im wrodzona inteligencja i kształtna, sprzężysta stopa, aby w dochodach miesięcznych przeskoczyć dyrektorów wydziałów. One się na pewno sprawdzą, przeto dla czego — niegodziwcy — na zapas straszycie nimi swoje dzieci?

*

Pracownica „Baru” w Rutkach, w którym nikt nigdy nie uświadczył jadłospisu, na pytanie dziennikarza: „Co można zjeść” — jednym tchem zaproponowała flaczki, kotlet schabowy, żeberka i inne meczyje. Obserwujący tę scenę miejscowi rolnicy, na okrągło traktowani jedynie o-beschniętym serem, nabrali podejrzeń, iż wizyta dziennikarza musiała być niezapowiedziana.

*

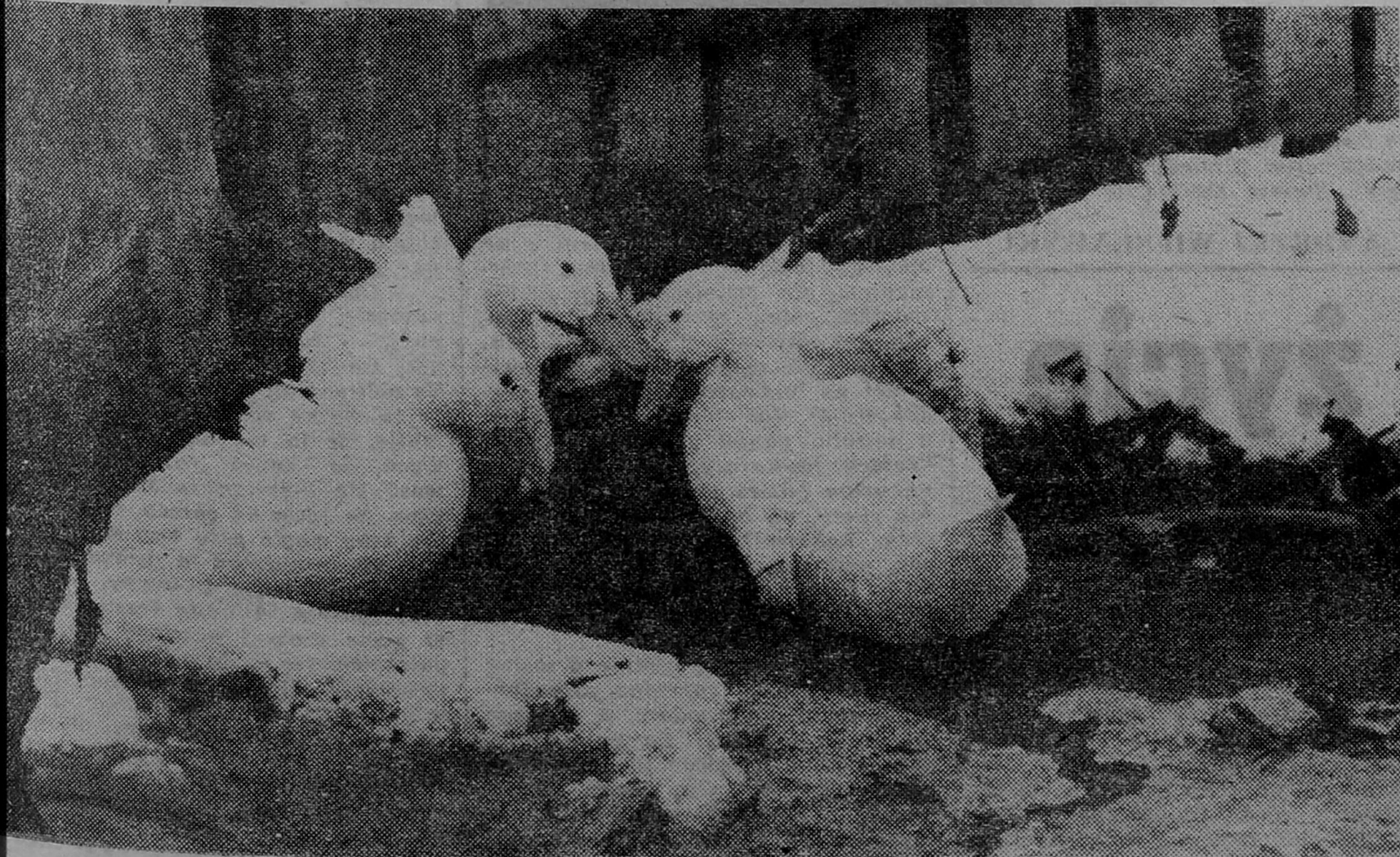
W ślad za wytknięciem łomżyńskiemu handlowi bezmyślnego sprowadzania olbrzymiej, w stosunku do potrzeb, ilości tak zwanego chleba bezglutenowego — otrzymaliśmy sygnał o sposobie, w jaki Przedsiębiorstwo Hurtu Spożywczego się go pozbywa: „Chcesz lepszą mąkę — otrzymuje pytanie piekarz lub cukiernik — bierz tyle a tyle bezglutenowej”. I jest to propozycja nie do odrzucenia. Nasz ojciec chrzestny wykazuje jednak pełną wyższość nad ojcem chrzestnym nie naszym: nie wyciąga ręki do całowania.

*

Pociąg-straszdyło relacji Warszawa Zachodnia—Łomża (rozpoczynający swój bieg o godzinie 16.15) często przeraża podróżnych turlającymi się po korytarzach pustymi butelkami po wódce lub innych napojach procentowych, otwartymi drzwiami w czasie jazdy, nie oświetlonymi toaletami i wagonami, brudem. Nie pomogły ostre kontrole, więc może skuteczniejsze będą samokontrole? Przez bite 6 godzin podróży można wychować nawet małpę.



LEKIE ŻYCIE



W lektor autorski w anonimowym klubie czy domu kultury, nieznanego — na ogół — nikomu autora, to relikty czasów, w których każdy Polak miał zostać miłośnikiem literatury, aby być Człowiekiem. Z największej, oczywiście, litery, bo wówczas brzmiało to słowo dumnie. Od dawna już przestano zastanawiać się nad wsapanością naszego gatunku, trapią nas raczej problemy zachowania resztek godności, próbujemy zhumanizować, czyli uczłowięczyć warunki egzystencji ludzi (!), ale wieczory autorskie odbywają się nadal.

Nie jeżdżą na nie wcale lub bardzo rzadko, przy specjalnych okazjach, pisarze znani lub uznani, jeśli zaś ruszy się autor — z jakim takim dorobkiem — czyni to zwykle z przyczyn bardzo prozaicznych, najczęściej z powodu pustej kieszeni, ze zwyczajnej biedy. Oczywiście, zdarza się także tęsknota za tym, aby spotkać kogoś innego niż kolega (to kelterskie określenie nie-żle tu przystaje) po piórze albo współmieszkaniec betonowego mrowiska, nie mówiąc o oszańcowanych bezinteresowną wrogością twarzach z ulicy. Czasem zafascynowany człowiek do zwyczajnej, gościnnej zacieka-wieniem ludzkiej gęby.

Klucze Duże. Gdzie to jest? Zaraz za Jedwabnem, jadąc od Łomży. Dobrze, pojedę. O czym mówić i co czytać, jeśli będzie komu? Najlepiej zacząć kawałkami zyciorysu, banalnego w moim pokoleniu, a ciekawego dla młodszych, a i pewnie dla niektórych starszych — jako materiał do porównania. Banalnie ciekawe życie artysty, a później spróbuję dokonać nadludzkiego wysiłku, aby grupie nieznanymi ludźmi zafundować okrucieństwo odświętne, czyli przeczytać kilka swoich wierszy tak, aby odśpiewali w nich poczucie lep-szości, pełniejszego bycia, niezwyk-łości, ośmiłi ich tym, że i oni „nie są gorsi”. Choćby przez chwilę i nie na wiele dłużej. Czy aby mi się to uda? Po to w końcu tam jadę. Sztuka jest, nie ukrywam tego, pudrem, nie służącym jedynie do tuszowa-nia „oblicza rzeczywistości”, ale i takim, od którego nie wszyscy do-stają alergii.

Droga za Jedwabnem wydaje się szeroka, choć gdyby nie pryzmy roz-garniętego na boki śniegu, nie by-łoby wiadomo, gdzie zaczyna się pole. Mimo że zima nie straszy nas

W Kilka dni po Nowym Roku u-ciąłem sobie dłuższą pogawędkę ze znajomym rolnikiem, właścicielem jedenastu hektarów ziemi ornej oraz tyluż łąk i past-wisk. Jest on też posiadaczem cał-kiem okazałego stada krów mlecz-nych, tuczników mięsnych oraz o-wiec i baranów wełniastych. Gęsi, kury i kaczki latem tażą mu po o-bjęciu samopas, więc nawet tego draństwa nie liczy. Informacje te podaję w tym celu, żeby była pełna jasność co do stanu posiadania włościanina, który w latach pięć-dziesiątych był kulakiem, w siedem-dziesiątych — specjalistą hodowla-ny, a teraz podobno jest zwyczaj-ny rolnikiem.

O czym rozmawia ostatnio miesz-czanin z włościaninem? Otóż rozma-wia on przeważnie o całym kom-pleksie zagadnień spożywczych, po-siłkując się przy okazji kompleksa-mi zupełnie innej natury. No bo: mieszczuch stoi w kolejce po żarcie, rolnik — gdy głodny — chwytą za siekiere i idzie do chlewika. No bo: w mieście chuda pensja, bez wido-ków na rychłą poprawę, na wsi grosz leży wszędzie, tylko trzeba się schylić. No bo wreszcie: rolnik ma gdzie i nad czym się schylać, a mieszczuch? Gdyby w dzisiejszej sytuacji tażił nawet na czworakach, znalazłby najwyżej to, co inny przy-wadkiem zgubi.

Rozmawialiśmy sobie w saloniku z makatkami na ścianach, filode-dronem w kącie i kolorowym tele-wizorem obok przeszklonej komody, zastawionej kryształami. Towarzy-szył nam brzęk sztućców o talerze i półmiski wypełnione czosnkowa-ną palcówką, majerankowanym boczkem i całym zestawem innych potraw, o których — przez litość dla miejskich czytelników — nie chcę nawet wspominać.

Z początku właściwie mówiłem tylko ja, starając się nie urazić prze-miętego gospodarza. Słuchał cierpli-wie do czasu, aż mnie nie przytknął kolejnym kawałkiem palcówki. Wtedy odchrząknął i rzekł, palcem wska-

LISTY ZZA RZEKI

sprawozdanie
z wieczoru
autorskiego

w tym roku, dmuchający wiaterek nawiewa niewielkie jeżorki zasp. Co się tutaj dzieje, kiedy zdarzy się solidna kurza — mogą so-bie wyobrazić. Wzdłuż drogi ani śladu plotów przeciwnieowych. Widać bardziej opłaca się komuś zatrudniać codziennie spychacze do odśnieżania, niż część tej roboty po-wierzyć raz ustawianym i raz de-montowanym plotom. Przestrzele... Może stąd pochodzi muzykalna ro-dzina Przestrzelskich? Podobno aż czworo rodzeństwa zajmuje się mu-zyką. Spotkałem dwóch braci — śpiewaków w Operze Wrocławskiej przed dziesięciu laty. Kucze Duże. Jestem na miejscu. Klub Rolnika na górze, za mostkiem w lewo. Dłu-

gi rząd oświetlonych na parterze okien. W klubie zimno, chociaż w nadkruszonym piecu miga ogień, a na stoliku jarzy się grzejnik elek-tryczny. Jest kilkanaście osób, sami dorośli. Zanim pani klubowa podała herbatę, zaczął się mój wieczór au-torski.

Jak będzie tak dalej — zaczyna gospodarz szalapińskim basem — to znaczy tak, jak u nas, że jedno się marnuje, a drugie takie samo buduje, to nigdy z kryzysu nie wy-jdziemy. Ten budynek, bo to jest szkoła, stawialiśmy w czynię, żeby nasze dzieci miały lepiej. Same dzie-ci nam pomagały. O, pod piecem jest Jadwiga, niech powie, ona wte-dy chodziła do szkoły. Teraz jej dzieci muszą jeździć do Jedwabne-go. Tu mamy tylko trzy pierwsze klasy, i to dopiero, jak matki po-jechały do Jedwabnego i zabrały dzieci z piwnicy, w której dyrek-torka szkoły zrobiła świetlicę. A w Konopkach buduje się nową szko-łę, chociaż to tylko kilometr od Kucz.

— Dwieście metrów drogi z Ko-nopek nie można naprawić, bo trze-ba by wozić dzieci do naszej szkoły, ale do wożenia mleka do naszej

zlewni to droga jest dobra — od-zywa się pani Jadwiga.

— Zlewnia też w czynię — obja-snia siedzący obok mnie bas — Ale władza musi postawić na swoim. Naczelnik pochodzi z Konopek, to im szkołę buduje, a u nas niewy-korzystana marnuje się. Nasz sa-si-gminnej rady zafalszowali nas, że niby zgadzamy się, żeby u nas pe-nej szkoły nie było. No i brak nau-czycieli podobno, a jak moja cór-ka poszła pytać o pracę, to dyrek-torka gminnej szkoły powiedziała, że już wszystko zajęte. I córka uczy w Miastkowie.

Słucham, próbuję wtrącać jakieś zdanie i układam w myślach nowy plan wieczoru, zmniejszam liczbę wierszy do przeczytania, rezygnuję z liryki zostawiając wiersze wspom-nieniowe.

— Drogi mamy taką, że już la-tem PKS odmówił wysyłania au-tobusów i we wrześniu dzieci nie miały czym dojeżdżać. Dopiero a-wantura u naczelnika poskutkowała i naprawili ten sanacyjny bruk. Ale jak naprawili? Zwiru nawozili ty-le, że można by nową drogę zbu-dować, tylko że wiatr to wszystko wydmuchal. A dziury pozalepiały smołą.

— Też nie wszystkie — ożywia się pani klubowa. — I ani jednego przystanku osłoniętego nie ma w naszej okolicy. Zbudowałibyśmy, choćby z kamienia, bo tego u nas nie brakuje, ale nie ma kto po-kazać — jak, zarządzić i zlecić marzną. Od szóstej do ósmej, jak autobus nie przyjedzie, i namarnie-te wracają do domu.

— A potem mówią w Jedwabnem — odzywa się milczący dotąd mę-czyzna, o którym sądziłem, że on jeden przynajmniej czeka na po-zycję — że ze wsi to same głupki. A jak ma być inaczej, kiedy te dzieci tyle nauki tracą.

Mój wieczór autorski trwał pra-wie dwie godziny. Nie przeczytałem ani jednego wiersza. I dobrze, bo ludziom, którym coś bardzo do-skwiera, poezja potrzebna jest na samym końcu. Kiedy nie mają już nic do stracenia. Swoją obowiązo-wość człowieka pióra uważam jednak za wypełnioną. Ci ludzie wierzą, że jestem pisarzem, że napiszę o tym, co ich dreczy. A więc piszę.

HENRYK GAŁA

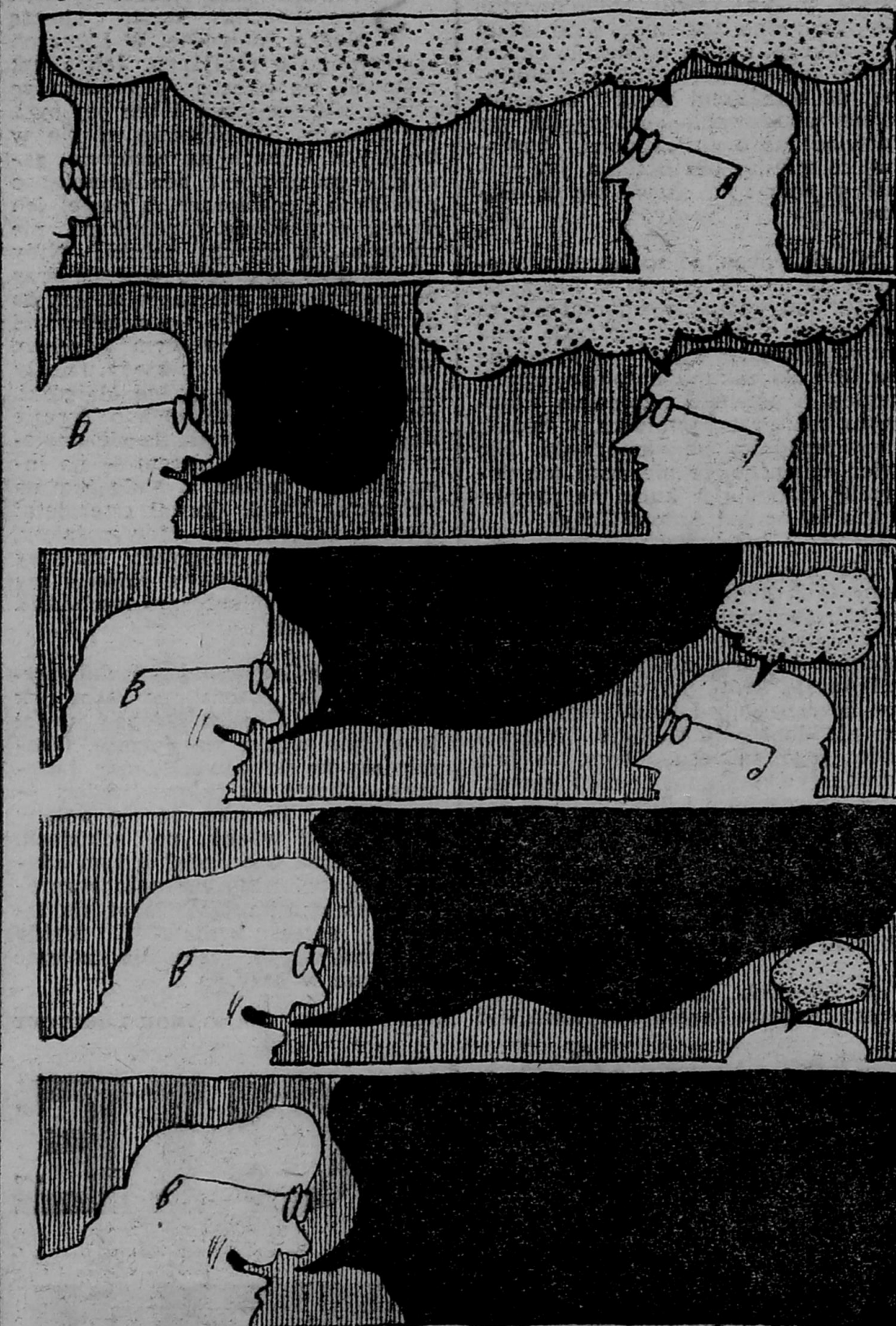
gorąco? No i pewnie bym sprzedał, bo coś mnie opętało, tylko, prawdę mówiąc, nikt nie chciał ziemi kupi-ć i tak zostało.

Rozum mi wrócił dopiero wtedy, jak w mieście pokazały się karthi. „Oho! — myślę sobie. — Coś to gorące życie zaczyna wyłazić bo-kiem!” Pojechałem do miasta zo-baczyć, jak ono z bliska wygląda. Sklepy, widzę, puste, tu i tam ko-lejka, ale poza tym jakby nic się nie zmieniło. W biały dzień na ul-cach gęstwina. Tłum wali w te- wewte, nigdzie się nie spieszy. Sa-mochód ciągnie za samochodem, no życie jak w Madrycie na japoń-skich tranzystorach. U nas we wsi jak stodoła się zapali, ludzie łapią za wiadra, najgorszy wróg wrogom pomoże, pobiegnie gasić. Prosta sprawa. Nie ugasisz cudzego, twój się spali. W mieście cały przemysł się zawałił, wszystko w proch się rozsypało, a ludzie, zamiast rato-wać, kłócili się, czyja to wina.

Zapadła chwila ciszy. W milcze-niu przeżywałem plasterkę podgar-dlanki. Mój znajomy rolnik przeży-wał w tym czasie własne myśli i chyba się zastanawiał, czy je pol-nąć, czy też wywalić.

— Coś panu powiem — zaczął po namyśle, wyraźnie przełamując o-pory. — Ja tam jestem prosty ro-tnik, zwykły chłop spod Zambrowa. Na polityce się nie znam, choć wiem, że to ważna sprawa. Ale tak sobie myślę, że to nie ona was, miasto-wych, do końca rozłożyła, tylko wasz stosunek do świata. Chciała-wam się życia na gorąco, tego światła, żebyście ciągle przy was blyszczalo. Nie powiem, dobra to sprawa, tylko trzeba mieć naftę do lampy, bo inaczej zgaśnie. A naftę trzeba kopat w pocie czoła i uczciwie. No, na-patrzyłem się ja do syta na miejską uczelność. I pan może popatrzeć, leży ona u mnie za stodołą. Plus dwie sikby rozorze i lemiesz mu pę-ka, żeby z brzozy wypadają jak chłopakom na zabawie. Krzesi sześć kupitem, po roku dwa zostały. Wy-starczy?

Rys. Marka Polańskiego



zując na telewizor: — Na tym gra-cie miastowego wyrobu, który psuł się dotąd szesnaście razy, oglądałem kiedyś serial filmowy „Życie na go-rąco”. Swinie kwiczą w chlewiku,

ANDRZEJ WIESŁAWSKI

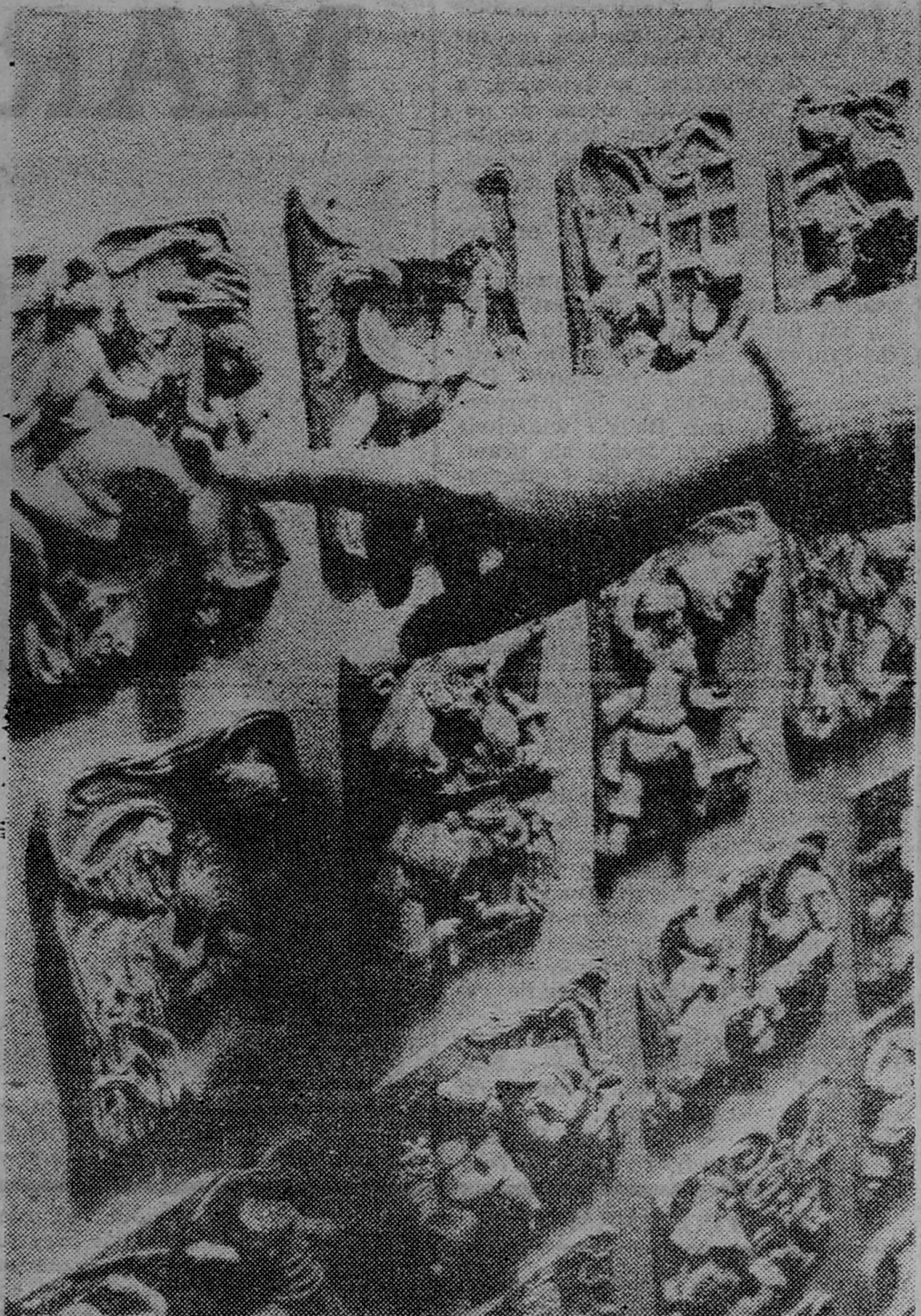
życie
na gorąco

jeśli wieczorem domagają się, a my z moją starą i chłopakiem bieeegiem do aparatu! Tak nam się chciało po-patrzeć, jak ludzie żyją na świecie bez taplania się w oborniku. Pa-trzyli, patrzyli, aż któregoś razu synek powiada: „Tato, na cholere tobie ta gospodarka? Tylko patrzeć, jak ciebie złożą do grobu, a co ty widział oprócz świńskiego zadka? Dwadzieścia razy w roku jeździsz do gminy wykłócać się o węgiel czy

nawóz, ot i cała twoja życiowa droga. Żeby łonkiego roku koń-cie nie kopnąć, szpitala nawet byś nie zaznał”. „Synu — mówię zmi-tuj się nade mną, starym. Jednego cię mam i kto mi pomoże, jak ty odejdziesz, a ja już całkiem z sił opadnę?” Tak mówiłem jemu, szcze-niakowi, ale po nocach spać nie mogłem, ciągle rozmyślając o tym, czy aby gówniarz nie ma racji. Mo-że lepiej dla niego, żeby został maj-strem na budowie albo jakimś re-daktorem? Nie mówię, żeby jak ten z serialu, ganiał zaraz po obcych krajach: wystarczy, jeśli raz w roku na urlop gdzieś pojedzie. Stąd się nie ruszy, no bo kto za niego by-dłaki nakarmi? Otworzyłeś telewi-zor, patrzysz, życie aż kip! A u nas? Jedyna rozrywka to kieliszek wódki, jedyne życie na gorąco to kłótnia ze szwagrem.

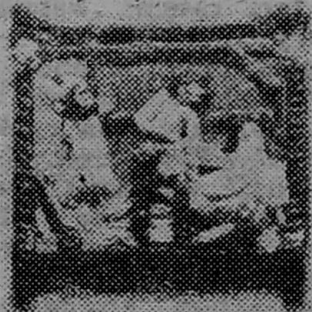
Kiedy zaczęły się kłótnie o wolne soboty, chciałem sprzedać gospodar-kę — ciągnął gospodarz. A nu jego w kibieni mater! Za czyje grze-chy ja mam harować jak ten chłop pańszczyźniany? Czy to ja gorszy od innych, którym jeden dzień w tygodniu na odpoczynek za mało? Czy ja sam nie mogę łapać życia na





Po 45 latach wróciła do Łomży Regina Bułatowicz-Ziemba, aby w rodzinnym mieście zaprezentować swój artystyczny dorobek. Gdyby wojna w 1939 r. nie zatrzymała młodziutkiej panny Bułatowicz w Warszawie i gdyby po wyzwoleniu nie nastąpiła seria szczęśliwych przypadków, które ją przywiodły do skarbnicy sztuki, kto wie, czy obejrzelibyśmy tę fascynującą wystawę miniatur ceramicznych.

Na „malowanie gliny” zdecydowała się jeszcze w warszawskiej Akademii Sztuk Plastycznych. Po ciężkich przeżyciach obozowych miała za słabe ręce do mocowania się z drewnem i wytaczania glinianych dzbanów. Prof. Marian Wnuk zobaczył któregoś dnia jej filigranowe figurki i zachęcił do pozostania przy tej formie twórczości.



GLINA MALOWANE

Po rozkosznych faunach i rusakach, po czających się i przęających do skoku zwierzętach — przyszedł czas na wielokrotne ucieleśnienia znaków Zodiaku, a potem — „seriale literackie”. Powstały więc (w owalach) „Kwiaty polskie” Juliana Tuwima, scenki z „Opowieści bi-

bliżnych” Zenona Kosidowskiego i „Dekameron” Giovanniego Boccaccia, sytuacje ze wszystkich tomów trylogii Henryka Sienkiewicza.

Kształty figur zamkniętych w „kadrach” i kolorystyka całości dają poznać rękę i wrażliwość wy-

trawnego artysty, który nie musi w pocie czoła realizować swoich zamierzeń, a nawet nie potrzebuje rysunkowych szkiców, bowiem plastyczna wizja szybko dojrzewa w umyśle.

Regina Bułatowicz-Ziemba nie pracuje już zawodowo (uczyła młodzież sztuki reklamy, a za osiągnięcia dydaktyczne i wychowawcze otrzymała w 1974 r. nagrodę II stopnia ministra Oświaty i Wychowania), więc mogłaby jeszcze raz i szerzej zaprezentować swoje „Opowieści ceramiczne” Łomży, np. przy okazji Święta Kultury Staropolskiej.

Trzymanego (na zdjęciu) w ręce „una” podarowała „Kontaktowemu” Muzeum Demonów, Straszyl i Niesamowitości. Dziękujemy.

(S.H.)

DARY DO MUZEUM NIESAMOWITOŚCI

Jan Piotr Borsuk:
„Wilkołak”



Stanisław Kozielski:
„Piekielny świętoszek”



Eugeniusz Wójcicki:
„Duch Ognia”



Redakcja „Krajobrazów”:
„Diabeł litewski z trójzębem”



Marian Mieszkowski:
„Wiedźma z góry Harz”

prezentacje



Nagrania Martyny Jakubowicz rzadko pojawiają się na radiowej antenie, nieczęsto można ją zobaczyć w telewizji, a mimo to jej piosenki cieszą się popularnością. Przyczyną tego zainteresowania jest zapewne chęć ucieczki — przynajmniej od czasu do czasu — w klimat prawdziwej muzyki, dostarczającej jakichś przeżyć czy wzruszeń.

Po raz pierwszy zaśpiewała w warszawskim klubie „Remont”. Kilka lat później, już „oficjalnie” zadebiutowała na białostockim festiwalu — „Jesień z bluesem”. Publiczności podobala się jej interpretacja piosenki Joan Baez i właściwie od tego momentu zaczęła się prawdziwa kariera wokalistki i gitarzystki. Pierwszych nagrań dokonała Martyna w białostockim studiu Polskiego Radia. Nie były to może zbyt udane próby, bo czegoż można dokonać na trzech magnetofonach jednośladowych, ale było to już coś. Potem przyszedł okres współpracy z „Kasą Chorych”, później z „Oddziałem Zamkniętym” (moim zdaniem niezbyt owocny) i poważne zainteresowanie się bluesem. Nie miała jednak szczęścia do zespołów, prawie wszystkie próby nawiązania współpracy czy stworzenia własnej grupy kończyły się fiaskiem. Wtedy też Martyna zwróciła się w stronę bardziej komercyjnych piosenek, zarzucając śpiewanie country i bluesa, czego do tej pory nie mogą jej darować krytycy. Dzięki temu jednak „zdobyła nazwisko” na antenie radiowej.

Niedawno wokalistka zakończyła realizację pierwszej płyty — „Maquillage”, którą wyda „Pronit”. W nagraniu uczestniczyli: Andrzej Nowak (ex — „TSA”), Andrzej Ryszka, Ryszard Skibiński, Jan Nie-

MARTYNA



krasz, Cezary Bierzniewski i Marek Stefankiewicz. Jak widać, zespół muzyków towarzyszących — wybor-

ny. Wspaniałe są partie harmoniki ustnej w wykonaniu, niezwykłego już Ryszarda Skibińskiego. Słucha-

tem kilku nagrań z tego longplayu i przyznać muszę — chciałbym mieć ten krążek w swojej kolekcji. Podobają mi się swoboda wokalistki, wspaniały luz, z jakim śpiewa w sprawach codziennych, czasem na-

wet mało istotnych. Myślę, że Martyna nie poprzestanie na tej płycie. Fot. MIROSŁAW MARKOWSKI

PRZYPOMINAMY

W tym czasie, gdy Paul Simon nagrywał w Londynie płytę „The Paul Simon Song Book”, Tom Wilson, który współpracował przy rejestracji pierwszego albumu duetu — „Wednesday Morning 3 A.M.”, postanowił wydać w USA, jeden z utworów na małym krążku. Wybrał „The Sound Of Silence”. Zaskoczenie wszystkich było ogromne, bowiem piosenka znalazła się natychmiast na 1 miejscu amerykańskich list przebojów. Oszłołomiony tym sukcesem Simon postanowił natychmiast wrócić do Nowego Jorku i przygotować kolejną płytę. W 1966 roku pojawił się longplay — „Sound Of Silence”, na którym umieszczono utwór „Homeward Bound”. Piosenka powstała podczas wędrowek Paula po hrabstwie Lancashire i zawędrowała najwyżej na amerykań-

skiej liście przebojów (5 miejsce). Rola Arta Garfunkela przy nagrywaniu tej płyty była nieznaczna, sprowadzała się w zasadzie do wygładzania harmonii i śpiewania partii refrenowych. Natomiast wszystkie kompozycje były dziełem Simona, który utrzymał całość w lirycznym nastroju, bardzo umiejętnie i sugestywnie rozkładając akcenty emocjonalne. Z pisanych przez niego w tym czasie utworów ziele grozą uczuciowej pustki typowej dla współczesnego świata. W tragicznej tonacji opowiadał o samotności, o życiu w ciągłym zgiełku. Mówił o braku jakiegokolwiek płaszczyzny porozumienia między ludźmi, a tym samym i braku miłości, która w takich warunkach nie może się zrodzić. Z pesymistyczną wymową tekstów konstatował sposób ich wykonania. Ciepły zmysłowy głos Paula, liryczny vocal Arta i delikatny akompaniament gitar powodowały, że ballady te odbierane były jak

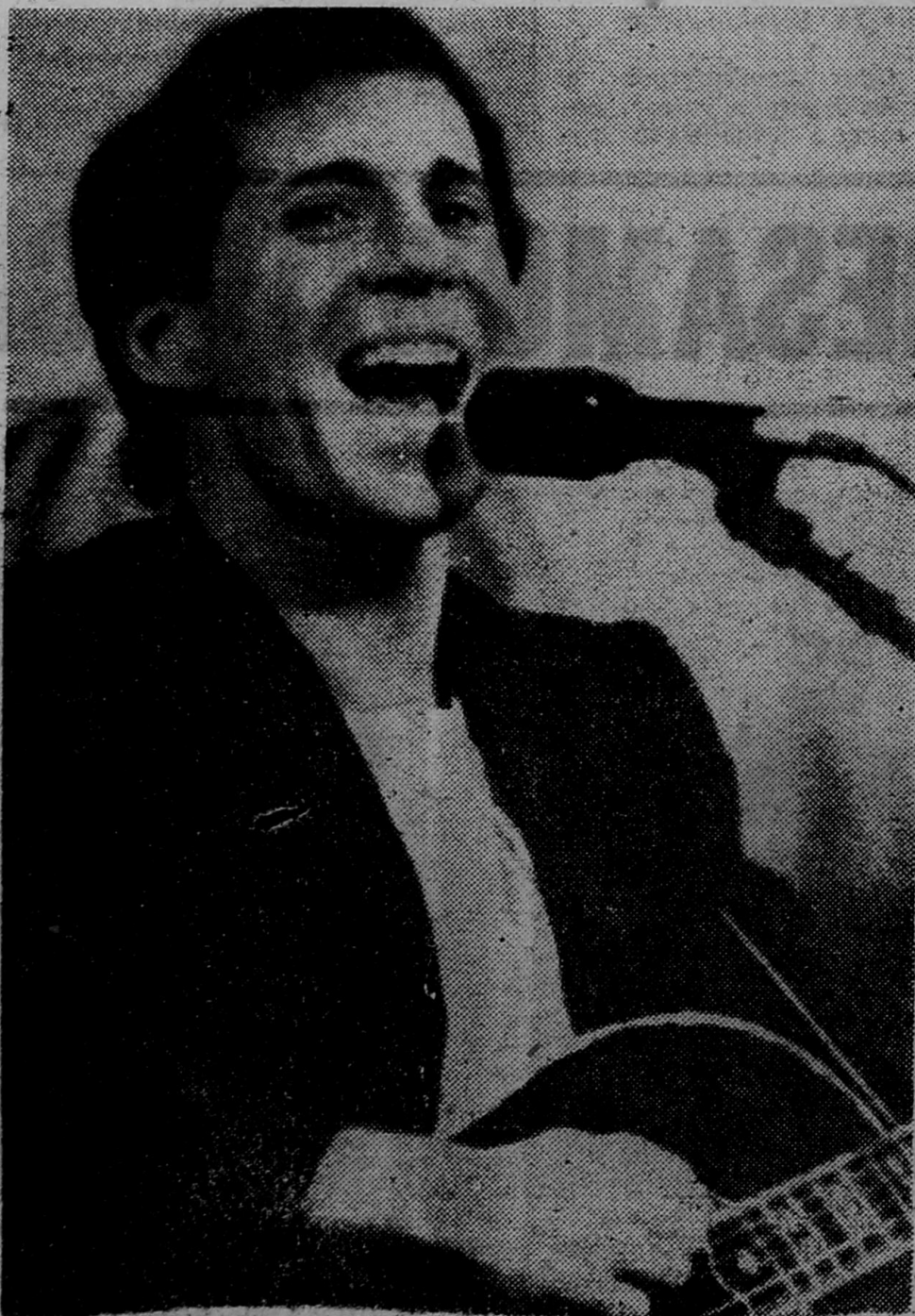
miłosne romance. Taki styl komponowania i interpretacji przewijał się przez cały okres kariery duetu.

Pięć miesięcy później Simon i Garfunkel wydali kolejny krążek, zatytułowany tym razem: „Parsley, Sage, Rosemary And Thyme”, z którego pochodzi m.in. przebieg „I Am a Rock”. Płytą tą muzycy ugruntowali swoją pozycję na rynku muzycznym Stanów Zjednoczonych i zyskali popularność w Anglii. Dwa lata później nagrali spokojny i niezwykle ambitny album „Bookends”, skąd pochodzi — znana nazwa z filmu Mike’a Nicholasa „Absolwent” — piosenka „Mrs. Robinson”. Obraz ten nakręcono w 1967 roku z udziałem Dustina Hoffmana. Była to historia walki młodego człowieka o ukochaną dziewczynę, którą rodzice przeznaczili innemu. Krytycy dopatrzili się w „Absolwencie” dramatu zniechęconej młodzieży epoki kontestacji, ja — wzruszające-

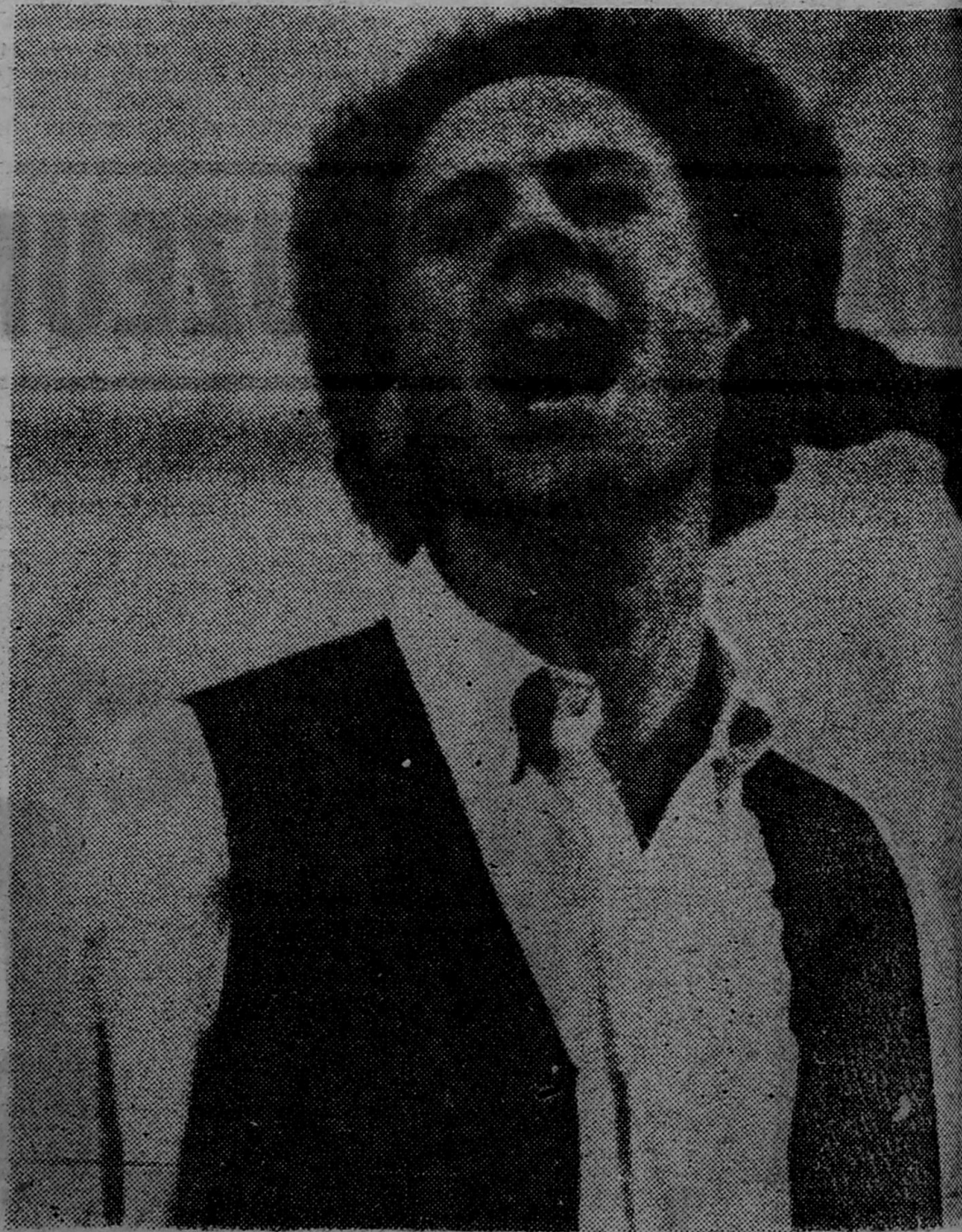
go romansu ubarwionego piękną muzyką, która, zresztą, w dużym mierze przyczyniła się do sukcesu filmu. Cóż, kiedy społeczny odbiór całkowicie rozniżał się z poetyckim przesłaniem młodego muzyka. Sprzyjała temu atmosfera hippiesowskich złudzeń, filozofii miłości i kwiatów. „Absolwent” stał się przebojem filmowo-muzycznym po stronach Atlantyku. Sława, jaką zyskali sobie Paul i Art, zmuszała ich do stworzenia czegoś jeszcze doskonalszego.

Muzycy nie pozwolili zbyt długo czekać na kolejną porcję przebojów. Wydany w styczniu 1970 roku album „Bridge Over Troubled Water” osiągnął 1 miejsce na wszystkich możliwych listach przebojów. 3 pozycję wśród najlepiej sprzedawanych płyt świata. Nabywców zalało 8 milionów czarnych krążków z piosenką o „Moście nad potokiem zmarłych”.

Reprod. ANDRZEJ SOKÓLSKI



Simon and Garfunkel⁽²⁾



fan-club



REDAKUJE
KRZYSZTOF KURIANUK

uczona papuga

Do dużego sklepu zoologicznego wszedł klient. Ekspedient podszedł doń z uśmiechem i spytał, czym może służyć. Klient chciał kupić papugę.

— Proszę łaskawie wybrać taką, która szanownemu panu odpowiada. Klient obejrzał wszystkie okazy i wskazał subiektovi wybraną przez siebie sztukę.

— Ile kosztuje ta papuga? — zapytał.

— Proszę łaskawego pana — rzekł ekspedient — ta papuga kosztuje 500 000 złotych.

— Ależ to jest majątek! — wykrzyknął klient. — Przecież za tę sumę mogę kupić dwa samochody.



— Tak, ale widzi pan, to jest genialna papuga — odpowiedział ekspedient. — Ona włada wszystkimi językami świata, może pan sprawdzić.

Zaciekawiony klient podszedł do klatki i zapytał: — Sprichst du deutsch?

— Natürlich, mein Herr — odpowiedziała papuga.

— Do you speak english?

— Sure, I do, sir.

Klient z kolei zapytał: — Parlez vous français?

— Naturellement, monsieur, je parle — odrzekła papuga.

— Parla italiano? — spytał nieco poirytowany klient.

— Sì, signore.

Klient nie wytrzymał i krzyknął: — Ale po żydowsku to ta papuga na pewno nie umie.

Na to usłyszał głos papugi z charakterystycznym akcentem: — Co? Ja nie mówię? Z takim nosem?

13
KONTAKTY
19 II 1984

TANIE DANIE

krokiety z kaszy gryczanej

Składniki: 30 dkg kaszy, 1 1/2 raza tyle wody, 2 dkg grzybów, 8 dkg tłuszczu, 3 dkg sera żółtego o smaku ostrym, 1 łyżka siekanego koperku, 5 dkg cebuli, 5 dkg tartej bułki, 2 jaja, sól, pieprz.

Suszone grzyby oplukać w zimnej wodzie, ugotować, odcedzić i posiekać. Kaszę oplukać, wlać wodę zmieszana z wywarem z grzybów, osolić i gotować na płycie azbestowej lub na brzegu kuchennej płyty około pół godziny, często mieszając. Gdy kasza jest miękka, wyłożyć na miskę, schłodzić, dodać jajka, grzybki, siekany koperek, utarty ser, sól, pieprz i posiekaną cebulę, usmażoną na tłuszczu. Wszystko starannie wymieszać. Uformować w tartej bułce walek o średnicy 3 cm, krajać na kawałki długości 10 cm, smażyć na rozgrzanym tłuszczu na złoty kolor. Podawać z sosem grzybowym, koperkiem i surówkami z warzyw.

nowy ogień

Obowiązek Nowego Ognia był apokaliptyczną cesurą w azteckiej rachubie czasu, powtarzającą się co 52 lat. W krytycznym momencie Aztekowie — w oczekiwaniu na możliwy koniec świata — nie podsycałi ognia w swych domostwach, pościli, niszczyli sprzęt i naczynia, wierzyli bowiem, że będą musieli umrzeć, jeżeli bogowie ponownie nie okażą im łaski.

W ostatnim dniu cyklu, o zachodzie słońca, długa procesja kapłanów, reprezentujących wszystkie bóstwa azteckie, wyruszyła na Wzgórze Gwiazdy — krokiem tak odmierzoną, by stanąć w świątyni na szczycie dokładnie o północy. Los ludzkości zależał od jednej z gwiazd w konstelacji Plejad. Jeżeli przekroczy ona zenit, ludzkość ocala; jeżeli się zatrzyma, nastąpi koniec świata.

Gwiazda nigdy nie czyniła Aztekom zawodu, przeto składali bogom ofiarę z ludzkiego życia. Ta forma dziękczynienia cieszyła się ich największym uznaniem. Na pierśi zamordowanego człowieka krzesali ogień — Nowy Ogień. Od niego zapalali pochodnie, z którymi spiechli do świątyni, by odnowić znicze. Od płomieni zniczów Aztekowie rozpalali ogniska domowe na następne 52 lata.

ROBÓTKI NA DRUTACH (6)

zamykanie oczek

Po wykonaniu odpowiedniej liczby rzędów — oczka zamyka się w następujący sposób: pierwsze dwa przerabia się jak przy odejmowaniu sposobem pierwszym. Następnie oczko na drucie prawym, które powstało przez przerobienie dwu, przekłada się na drut lewy i znów przerabia dwa razem (to przełożone z drutu prawego i następne). Czynność powtarzamy do zakończenia podkroju szyi, pachy lub linii ramion. Ściągacze zamyka się w ten sam sposób. Jednak w przypadku pliski dookoła dekoltu — lepiej zamykać inaczej: tam, gdzie jest oczko prawe, przerobić dwa na prawo; tam, gdzie jest oczko lewe, przerobić na lewo. Wówczas linia jest bardziej elastyczna.

Dziurka pozioma. Na linii przodu, w oznaczonym miejscu (mniej więcej około 2 cm od brzegu), należy zamknąć odpowiednią ilość oczek — zależnie od wielkości guzika. W następnym rzędzie narzucić na drut taką ich liczbę, jaka była zamknięta w rzędzie poprzednim.

w kraju polowań



Jeszcze w XIX stuleciu polska kuchnia myśliwska słynęła z tak osobliwych potraw, jak racice z dzika, łapy niedźwiedzie, mózg łosia (w wielu odmianach: w galarecie, ze szczawiem), koldunki z bobra. Wszystkie mięsa z dużych zwierząt — jelenia, łosia, niedźwiedzia — marynowano przez dłuższy okres w occie, jarzynach i korzeniach. Pieczono na rożnach i w piecu lub gotowano z dodatkiem białego wina. Ukoronowaniem uczy myśliwych był „trunek do poduszki”: „wziąć

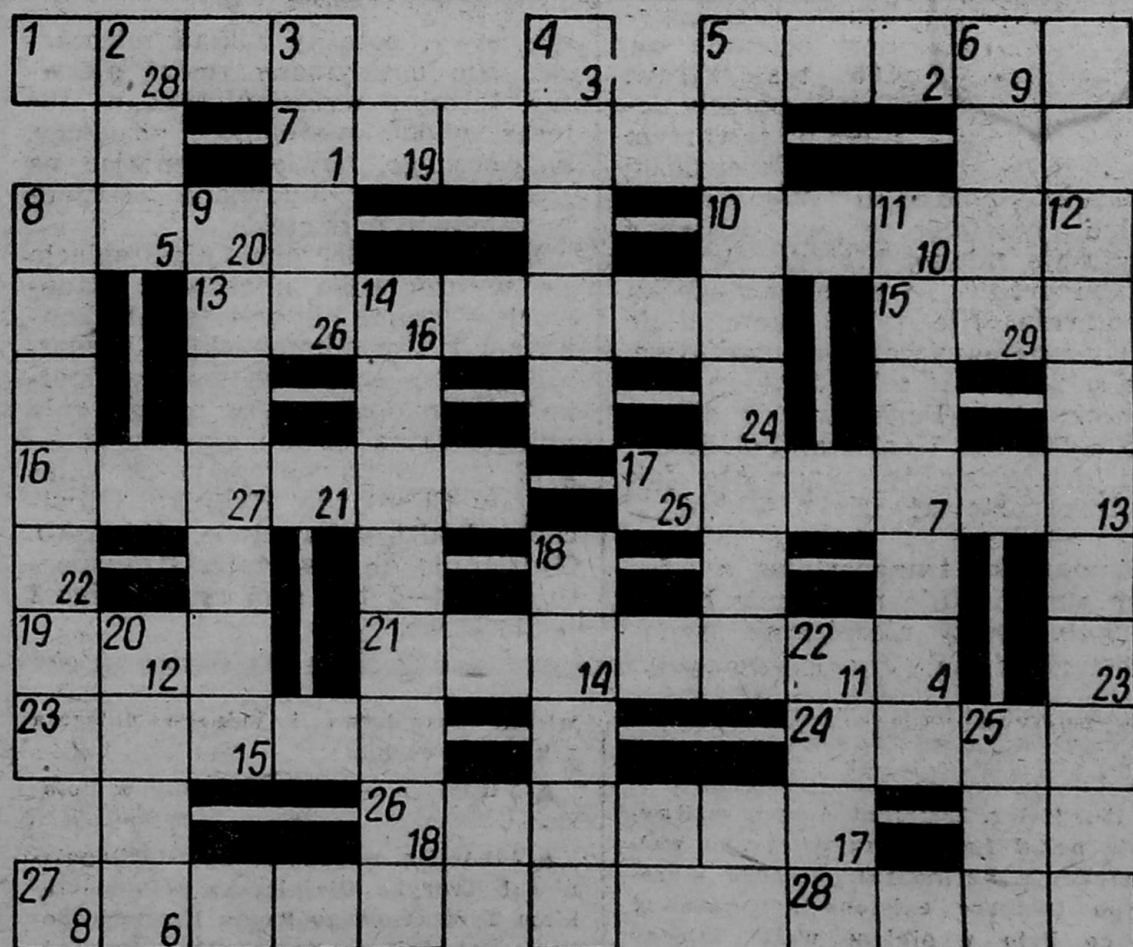
garnek polewany, mocny, półtora garncowy, włożyć weń pół funta fig, tyleż rodzynek, tyleż daktyliów, migdałów funt kilkanaście gorzkich, łut cynamonu, kilka goździków strącek wanilii, z trzech cytryn same cedro [skórę] zestrugać, ze trzy pomarańcze, miodu patoki lipce zwanej kwartę. To wszystko zalać mocną wódką, oblepić i wstawiwszy do pieca wypalonego, zamknąć na dzień cały. Potem przez serwetę lub gęste sito przepuścić do wazy”.

HAUTANA

CZYLI BIUSTONOSZ

Bad Cannstatt, austriackie uzdrowisko nie opodal Stuttgartu, jest miejscem narodzin biustonosza. Stamtąd pochodzi trzech braci Lindauer. Jeden z nich doszedł do wniosku, że tak doskonała część ciała kobiecego, jak biust, zasługuje

na specjalne odzienie. W roku 1911 bracia Lindauer przedstawili w Cannstatt swoją pierwszą koncepcję biustonosza. Po roku został ogłoszony patent na prototyp tego fragmentu damskiej garderoby pod nazwą „Hautana”.



Po rozwiązaniu krzyżówki litery z krótkich ponomerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione od 1 do 29, utworzą przysłowie polskie.

POZIOMO: 1) ziemia leżąca odlegiem, 5) prymitywne urządzenie drewniane do spulchniania gleby, 7) twarda tkanka tworząca główną masę i szkielet zęba, 8) szkoda moralna, zniewaga, 10) niezbędne dla niemowląt, 13) mieszkanka największego z kontynentów, 15) niezbędny przy adresie pocztowym, 16) placówka jakiegoś urzędu, instytucji, 17) słynny afrykański rajd samochodowy, 19) wolny koniec drzewca omaszowania statku, 21) reumatyczne zapalenie mięśni okolicy łędziowej, 23) imię Delona, 24) powab, czar, 26) w kieszeni studenta, 27) antonim waśni, 28) ryba z rodziny łososiowatych.

PIONOWO: 2) niewielki las, 3) szczelina powstająca w drewnie podczas pływania, 4) poziomy ruch powietrza, 5) sanskrycka epopeja rycerska, osnuta na tle dziejów Ramy, 6) tkanka drzew tworząca warstwę włóknistą pod korą, 8) jedna z republik radzieckich, 9) używana niekiedy nazwa małej dźwigni ręcznej, 11) państwo w Ameryce Pd., 12) część serialu telewizyjnego, 14) miejsce spożywania posiłków, 18) autor powieści „Kakao”, 20) książkę nowogrodzki i pierwszy książkę kijowski (? — 912), 22) smak, poczucie piękna, 25) niejeden w rosolu. („HCL”)

Stragam pod trzymastką



wieści grodzkie



Czy są szanse rozwiązania problemów 200 rodzin, oczekujących na poprawę warunków mieszkaniowych? Mimo że Grajewo nie jest miastem zamkniętym, obowiązują tu obostrzenia meldunkowe. Pieczęć o stałym zameldowaniu można uzyskać tylko za zgodą referatu mieszkaniowego Urzędu Miasta i Gminy. Specjalna komisja sprawdza warunki, w których będzie mieszkał nowy grajewianin, eliminując potencjalnych lokatorów budynków gospodarczych czy niebezpiecznych strychów.

Spółdzielnia Mieszkaniowa w ub. r. uszczęśliwiła wprawdzie 135 rodzin, jednak gospodarka komunalna pozyskała jedynie 4 mieszkania. W pozostałych lokatorzy zostawili rodziny, w tym część po wykupieniu na własność.

Ciągłe niewielkie przydziały eter-

GRAJEW

nit i materiałów budowlanych przeznaczonych na potrzeby budownictwa jednorodzinne nie ułatwiają życia tym, którzy własnymi rękami starają się polepszyć swoje warunki mieszkaniowe.

Zgodnie z poleceniem wojewody powołana została komisja, która przeprowadzi ewidencję warunków mieszkaniowych. Według zasad obowiązujących w spółdzielni z przyspieszeniem mogą korzystać tylko członkowie, ale prawdopodobnie prawo to będzie rozciągnięte także na kandydatów, znajdujących się w szczególnie trudnych warunkach.

Odczuwalnej poprawy spodziewać się trzeba dopiero za kilka lat — po rozpoczęciu budownictwa komunalnego. Trwają prace projektowe, przygotowywana jest budowa dwóch bloków przy ul. Wiktorowo. Jeden z nich spełniać będzie funkcję budynku rotacyjnego — dla lokatorów z remontowanego centrum.

SZCZUCZYN

Czas świetności najstarszego szpitala w województwie jakby minął. Łóżka, na dwóch oddziałach: internistycznym (62) i ginekologiczno-polożniczym (24) cały czas są zajęte. Tralają tu chorzy z miasta i 28 okolicznych wsi. Opiekuje się nimi 5 lekarzy, średnio co 4 dni przypada dyżur. Całe szczęście, że nie brakuje pielęgniarek. O wiele gorzej przedstawia się zaopatrzenie w lekarstwa, a np. strzykawki jednorazowo sterylizuje się i używa wielokrotnie, toteż zdarzają się przypadki wszczepienia zółtaczki (została ona uznana za chorobę zawodową pracowników służby zdrowia). Poza innymi względami — koszt leczenia chorego na zółtaczkę (według danych za 1982 r.) sięgał 60 tysięcy złotych, a wyprodukowanie strzykawki — kilkadziesiąt. Z braku odpowiedniego napięcia prądu często nieczynny jest rentgen i urządzenie do fizykoterapii. Mimo składania wielokrotnych zamówień, szpital nie otrzymał wielu niezbędnych urządzeń. Przydałby się zwłaszcza aparat do pobudzania akcji serca.



Skup mleka jest o jedną piątą większy niż w podobnym okresie ub. r. i wynosi dziennie ok. 100 tys. litrów. Dzięki porozumieniu zawartym przez Wojewódzki

Związek Spółdzielni Mleczarskich zakład przetworczy w Grajewie przyjmuje mleko, którego nie zdołała przerobić wysokomazowiecka mleczarnia. Nie tylko ekonomiści nerwy odmawiają posłuszeństwa, jeśli uświadomi sobie fakt, że mleko wozą się z Perlejewo do odległego o 200 km Grajewa. Pół biedy, jeśli dzieje się to zimą. Ale jak przetransportować mleko latem?

Gimnastyka transportowa z mlekiem zupełnie nie mobilizuje budowlanych, którzy niespiesznie wzno-



W oplakany stanie są też: kotłownia (ogrzewa zaledwie jedną trzecią szpitala), prądnicę, ciasną kuchnię. Z powodu ciastoty nie można wydzielić

odrębnego pomieszczenia na pogotowie ratunkowe. Czynne jest więc ono do godz. 15.00, później należałoby telefonować do Grajewa. Uteri się jednak — jeszcze od czasów przedwojennych — zwyczaj, że wieczorem, po zamknięciu przychodni, chorzy przychodzą po poradę do szpitala. Jeśli chory znajduje się w stanie uniemożliwiającym chodzenie, rodzinie wydawane są nosze. Gdyby działało w Szczuczynie pogotowie całonocne, mogłoby przejąć transport chorych z oddalonych od Grajewa rejonów np. z okolic Radziłowa.

Zapadła, na szczęście, decyzja wzniesienia w latach 1985-87 150-łóżkowego szpitala (w tym 30-łóżkowy oddział leczenia ostrych alkoholików). Fundusze na budowę przyznane zostały przez Społeczną Komisję Antyalkoholową.

WYSOKIE MAZOWIECKIE

szą nowy, potężny zakład mleczarski. Nie dotrzymany został pierwszy termin: wrzesień 1982 r. Już teraz widać nierealność drugiego, tegorocznego, bowiem oceniając na „oko” roboty budowlane osiągnięły zaledwie półmetek.

Budowa mleczarni nie znalazła się w programie inwestycji rządowych — ponoć nie wytrzymała konkurencji z wielkomięjskimi piekarniami. Być może z centralnego stoika trudno dostrzec, że prawie cała ubiegłoroczna produkcja masła — 2512 ton — powędrowała do sklepów w Chorzowie, Rybniku, Gliwicach, Łodzi, Warszawie, Gdańsku. Codziennie do tych miast transportuje się 4-5 ton sera edamskiego i podlaskiego.

wicieli państwa i jednego delegata z każdego cechu.

▲ 3 II 1905 r. — strajk szkolny w Łomży.

▲ 3 II 1945 r. wojewoda białostocki mianował Henryka Olejniczaka pełnomocnikiem Tymczasowego Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na teren Prus Wschodnich. Zadaniem pełnomocnika było przejęcie wyzwolonych obszarów, organizowanie polskiej administracji i koordynacja akcji osiedleńczej.

▲ 5 II 1945 r. została przeniesiona siedziba Komitetu Powiatowego PPR z Zambrowa do Łomży. Organizacja PPR w pow. łomżyńskim w końcu stycznia 1945 r. liczyła 82 osoby.

▲ 13 II 1945 odbyło się w Łomży pierwsze posiedzenie przedstawicieli PPR-u i PPS-u, na którym omówiono zasady współpracy.

▲ 13 II 1947 ruszyła kolej na trasie Białystok—Grajewo—Ełk—Olecko—Suwałki.

WYDZIAŁ ZATRUDNIENIA I SPRAW SPOŁECZNYCH



URZĄD WOJEWÓDZKI W ŁOMŻY

Rynek pracy, wyznaczony ilością zgłoszonych przez zakłady wolnych miejsc i ilością osób poszukujących zajęcia, w naszym województwie charakteryzuje się stałą nadwyżką wolnych stanowisk. Nadwyżka ta jest większa w okresie wiosny i lata, a niższa późną jesienią i zimą. Mają na to wpływ prace sezonowe, nasilające się wiosną i latem.

W końcu stycznia 1984 r. w województwie było wolnych 712 miejsc pracy, natomiast poszukujących pracy — 186 osób. Najwięcej miejsc było (jak zwykle) w rejonie pośrednictwa pracy Łomży: 277 na 92 poszukujących. Na podobnym poziomie utrzymują się te dane w Zambrowie, Wysokim Mazowieckim i Grajewie. Niedobór wolnych miejsc wobec ilości poszukujących występuje jedynie w rejonie Goniądza i Jedwabnego. Jedwabne — ze względu na odległość od Łomży i stosunkowo dogodnie z nią połączenie autobusowe — jest rozpatrywane łącznie z rejonem Łomży, natomiast rejon Goniądza administracyjnie kojarzy się z rejonem Grajewa, lecz praktycznie być musi tolerowany przepływ osób poszukujących pracy do Moniek w województwie białostockim.

Wolne miejsca pracy to przede wszystkim stanowiska robotnicze. Deficytowymi zawodami są wszystkie specjalności budowlane i włókiennicze. W odniesieniu do kadry z wyższym wykształceniem — szczególnie niedobory występują w zawodach: medycznym, nauczycielskim, ekonomicznym, prawniczym i budowlanym. Praca dla osób legitymujących się takim przygotowaniem oczekuje głównie w małych miastach i gminach.

Niekorzystnym zjawiskiem, mimo miłego postępu w technice i technologii wytwarzania, jest utrzymywanie się w społeczeństwie świadomość na temat pracy fizycznej: jest ona zastrzeżona tylko dla osób z wykształceniem zasadniczym. Natomiast te z wykształceniem średnim

PRACA SZUKA CZŁOWIEKA

rynek

i wyższym są predystynowane do pracy biurowej i potrafią na nią czekać miesiącami, podczas gdy mogłyby, bez uszczerbku na honorze, zatrudnić się w zakładzie pilnie poszukującym pracowników do obsługi maszyn i urządzeń.

Omawiając rynek pracy warto też przywrócić się problemowi niedoborów ludzi w zakładach województwa. Podczas analizy stopnia wykorzystania czasu pracy i poziomu fluktuacji pracowników w wielu przypadkach wyjdzie na jaw fakt przerostów zatrudnieniowych. Nie zamierzam, bez uprzednich badań specjalistycznych, wypowiadać się o rozmiarach tych przerostów w poszczególnych zakładach, uważam jednak, że wiele z nich niedostatków w organizacji pracy, brak racjonalizacji zatrudnienia, niewłaściwe stosunki międzyludzkie, dezintegrujące załogi, próbuje usprawniać (to dziw — skutecznie!) brakami w obsadzie stanowisk. Mają one bowiem świadomość, że zdanym osobom i tak nie otrzymają, bo nie ma ich na rynku pracy. Liczą więc na wyrozumiałość instytucji nadrzędnych, oczekujących od nich dobrej roboty. Należy jednak mieć nadzieję, że reforma gospodarcza, nakładająca powoli, ale skutecznie do racjonalnego gospodarowania, spowoduje również stopniowe wyzwalanie rezerw zatrudnieniowych w niektórych zakładach.

Zanim to jednak nastąpi, chciałbym przypomnieć, że każdy następny dzień przybliża nas do chwili rozpoczęcia prac sezonowych. Jeszcze czas na to, aby osoby bez zawodu lub z zawodem niedostosowanym do potrzeb zakładów dokonały przeglądu wolnych miejsc i podjęły decyzję o przyłączeniu się na stanowisku robotniczym lub na kursie specjalistycznym. Legitymując się bowiem zawodem poszukiwanym i decydując się na pracę bezpośrednio w produkcji — będą mogli dokonać wyboru zakładu, przyjmując za kryterium warunki pracy i atmosferę sprzyjającą integracji z zakładem.

W kolejnym artykule zajmiemy się problemem osób uchylających się od pracy.

ANTONI CHOJNOWSKI

PLEBISCYT

Tylko do 25 lutego br. można nadsyłać na adres redakcji (ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża) kupony plebiscytowe. Na uczestników czekają cenne nagrody (sprzęt sportowy) ufundowane przez ZW ZSMP, ZW ZMW i ZHP.

Przypominamy, że o miano „Przyjaciela sportu” (szerzej sylwetki przedstawialiśmy w numerze 5/173) ubiegają się: Piotr Kossakowski, Marian Kulesza, Zygmunt Rowiński, Józef Skorupski i Jan Stec, zaś za „Talent roku 83” mają szansę być uznani: Małgorzata Cudnik, Barbara Czapko, Robert Jankowski, Zbigniew Franciszek Łuba i Marek Sienkiewicz.

KUPON KONKURSOWY

„Przyjaciel sportu”

1
2
3
4
5

Imię, nazwisko i adres

KUPON KONKURSOWY

„Talent roku 83”

1
2
3
4
5

Imię, nazwisko i adres

wypisy z historii

▲ 18 II 1567 r. Zygmunt August w Knyżynie nadał Łomży przywilej „na wolną elekcyję burmistrza, którego starosta po tempore existens konfirmować ma, co było wynikiem walki między patrycjatem a pospólstwem. Kandydaci na rajców musieli umieć pisać i czytać, musieli być osiadłymi obywatelami, na nich spoczywał cały ciężar spraw miejskich. Wybrany przez radę miejską i zatwierdzony przez starostę burmistrz dobierał sobie jednego rajcę, potem we dwóch dobieżeli drugiego itd.” Przepisy mówiły, że za trzykrotne opuszczenie zebrań lub zjawienie się w stanie nieprzytomnym groziła kara do 100 batów. Podczas zebrań omawiano sprawy dozorów i budowlanych domów, opieki sanitarnej i społecznej, zabezpieczenie miasta i zaopatrzenia w żywność itp. Burmistrz z rajcami corocznie składali sprawozdanie o dochodach i rozchodach miejskich wobec ławników, dwóch przedsta-

warunki
prenumeracji



I CHING (8)

HEKSAGRAM 15: skromność.

góra: K'un — ziemia, wykonanie

dół: Ken — góra, upór.

DECYZJA: Skromność przynosi sukces. Człowiek wartościowy do-

prowadzi swe sprawy do korzystnego zakończenia.

KOMENTARZ: Wszystko w swoim czasie — będzie i sukces, i wywyższenie; kiedy cnota będzie dostrzeżona — przyniesie zaszczyt.

OBRAZ: Góra ukryta w ziemi. Człowiek wartościowy rozważa sprawę i dąży do równowagi.

Linia 1 — Praca nad własnym charakterem daje owoce. Człowiek wartościowy przekracza wielką wodę — powodzenie!

Linia 2 — Jeśli weźmiesz sobie do serca czyjeś wołanie o pomoc lub głos ostrzegawczy — powodzenie.

Linia 3 — Ludzie współpracują chętnie z tym, kto jest skromny. Pracuje ciężko, ale będą tego owoce.

Linia 4 — Jeśli nie porzucisz właściwego kursu, będą korzyści.

Linia 5 — Można nawet zastosować siłę, jeśli ma się do czynienia z perwersją czy jawnym złem. Będzie sukces, gdyż nie chwalisz się stanem posiadania.

Linia 6 — Można śmiało podążać do celu, energicznie zabrać się do realizacji planów, ale tylko wtedy, jeżeli nie są one zbyt egoistyczne.

HEKSAGRAM 16: przekonanie

góra: Chen — piorun, ruch.

dół: K'un — ziemia, wykonanie.

DECYZJA: Korzystny czas dla

tych, co budują kraj i wysyłają armie.

KOMENTARZ: Idea heksagramu jest głębokie przekonanie, że działanie obecnie podjęte jest właściwe. To, czego chcemy, jest do osiągnięcia. Poczynania rodzą zaufanie w innej osobie, a nasze przekonanie wynika z poprawnego działania. Idea korzystna dla budujących kraj lub będących w stanie wojny.

OBRAZ: Piorun nad ziemią. Sta- rożytni władcy czcili Niebo poważ- ną muzyką, aby pokonać przeszkody.

Linia 1 — Pobudka bardzo mi- zerna, stanowi zły omen na przysz- łość.

Linia 2 — Przekonanie o słusz- ności decyzji wcześniej podjętej po- woduje, że trwa przy swoim niepo- ruszony jak skała. Nie zwlekać na- wet jednego dnia!

Linia 3 — Brak działania prze- ciąga się poza wszelką rozsądną miarę.

Linia 4 — Z głębokiego przekona- nia wynikają wielkie rezultaty. Nie mniej wątpliwości! Dlaczego mia- łyby być szkodliwa przyjaźń z tym człowiekiem? Nastąpi pełne speł- nienie życzeń.

Linia 5 — Należy się spodziewać choroby, ale nie potrwa ona długo i nie spowoduje śmierci.

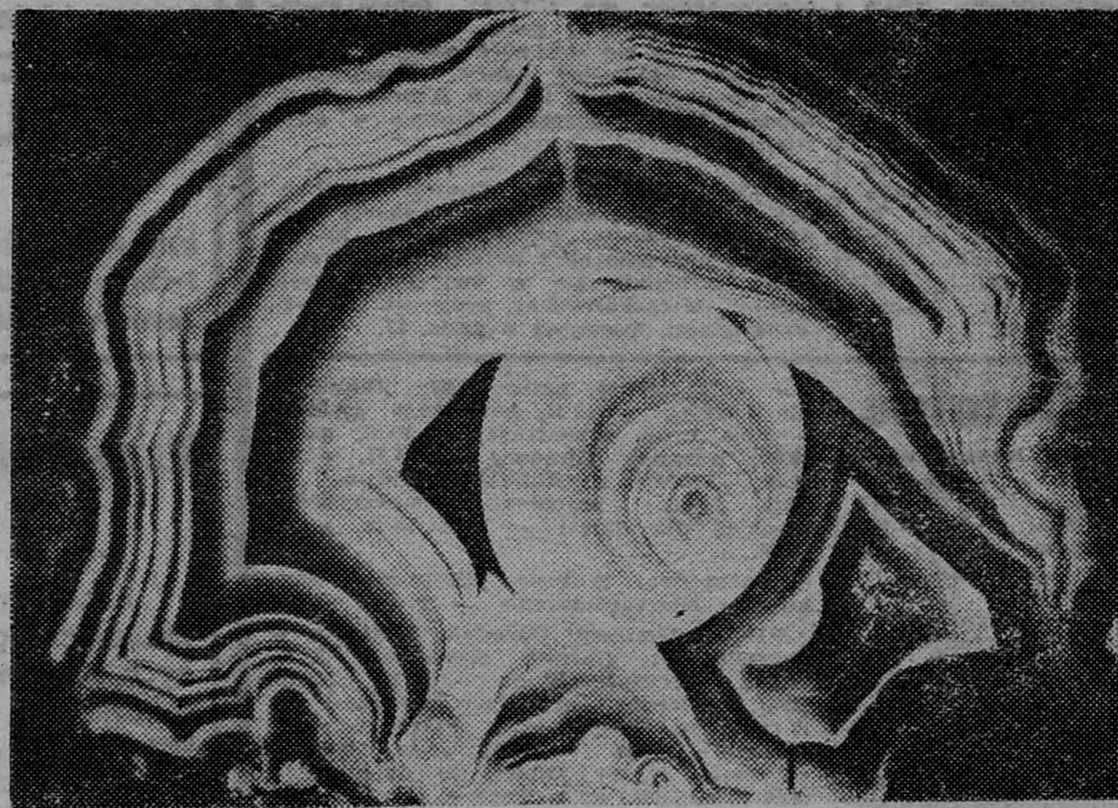
Linia 6 — Jest nieskłonny do działania, aż do momentu najwięk- szego pośpiechu w obliczu zbliża- jącego się niebezpieczeństwa lub po- trzeby działania. Na szczęście na- stępuje zmiana sytuacji — tak, że nie dochodzi do kłopotów.

NIEWIARYGODNE ACZ PRAWDZIWE

Weganizm reprezentuje stanowi- sko vegetariańskie w wersji bar- dziej radykalnej. Eliminuje z diety nie tylko mięso, ale i mleko, prze- twory mleczne, a także jaja. We- ganie występują również przeciw- ko wyrobom przemysłowym opiera- jącym się o surowce pochodzenia zwierzęcego. Szukają innych rozwią- zań. Na Zachodzie pomysłowi rze- mieślnicy — wychodząc naprzeciw- tym oczekiwaniom — zaczęli produ- kować buty i wyroby rymarskie wy- łącznie z produktów roślinnych, po- dobnie kosmetyki. Zwolenników weganizmu charakteryzuje tak od- mienny od przeciętnego stopień wrażliwości na niedole zwierząt, że w wielu przypadkach są oni prawie niekomunikatywni, co powoduje

pewną psychiczną izolację, tak jak- by stanowili inny, odrębny gatunek ludzki.

Panuje przekonanie, że każda die- ta vegetariańska, a wegańska szcze- gólnie, służy nie tylko zdrowiu fi- zycznemu, ale ma również znacze- nie dla procesów psychicznych i roz- woju duchowego. Wielu wegan stwierdza, że spożywanie białka zwierzęcego jest dla organizmu tak dużym obciążeniem, że aby mu po- dolać, musi on koncentrować znacz- ną część swojej energii życiowej na procesach trawiennych, co nie- uchronnie ogranicza możliwości in- tensywnej pracy umysłowej.



LESZEK SZUMAN ŻYCIE



CZY MOŻNA PRZEŻYĆ KRZESŁO ELEKTRYCZNE

(1)
- 22 -

Człowiek, o którym mowa, już nie żyje. Zmarł na marskość wątro- by. Po prostu zaplił się na śmierć. Gdzieś niedaleko granicy Meksyku, gdzie nie mogli go już dosięgnąć a- merykańscy detektywi.

Teraz, kiedy już zmarł naprawdę, można powiedzieć, co z niego wy- dobyli lekarze. Sam bowiem mil- czał. Dobrowolnie nie chciał powie- dzieć nic.

Lecz doktor Cornish był niezmi- ernie ciekawy jego zeznań. Dał mu

więc kilka zastrzyków pentatolu z alkoholem. W ten sposób zabił w nim wszelkie zahamowania i pacjent zaczął mówić, i tak powstała ta ciekawa relacja. Po cichu szeptano sobie o doświadczeniach doktora Cornisha, o czym zresztą on sam niechętnie rozmawiał nawet w gro- nie najbliższych przyjaciół.

Ow człowiek bowiem, z którego doktor Cornish przy pomocy „le- ku prawdy” wydobył tajemnicę je- go przeżyć, kiedyś już siedział na elektrycznym krześle.

Kat, stojący za kotarą, trzykrot- nie włączał przełącznik wysokiego napięcia. Trzykrotnie skazanego przenikał z sykiem prąd, a w po- mieszczeniu — zbudowanym, chyba jak na ironię, na wzór kaplicy — rozszedł się smród palonych włosów i przypalonego mięsa.

Można wierzyć lub nie, lecz ów osobnik siedział rzeczywiście na e- lektrycznym krześle. Kto twierdzi, iż człowiek nie może przetrzymać styku płyty miedzianej z ciemie- niem ludzkim, bo prąd przepalił tkanki i doprowadzi mózg do wrze- nia, ten nie wie, jaki Fred Philipps był odporny na urazy. Może prze- trzymał dlatego, że miał podobno kość ciemieniową jak słoń. Upřed- nio już dwa razy strzelano do nie- go z pistoletu dużego kalibru, a kule ześlizgiwały się z jego głowy, jak po stali pancernej. Lecz — czy byłby w ogóle przeżył to, co z nim zrobiono — bardzo wątpliwe.

W każdym razie ostatnie oficjalne orzeczenie lekarskie brzmiało: śmierć z powodu zastosowania pra- du elektrycznego. Zarządzono wy-

danie zwłok na skutek specjalnej interwencji u gubernatora.

— Miałem nadzieję do ostatniej chwili. Przysłano mi do celi gryps, gdzie było napisane: „Nie trać na- dziei, stary. Wydobędziemy Cię.” Wierzyłem tym, co mi przestali tę wiadomość. Ale jak chcieli tego do- konać? Wzdłuż korytarza chodzili tam i z powrotem dozorczy, a w no- cy jeden z nich siedział kamieniem w mojej celi.

Czytałem książkę o Mata Hari. Aby podnieść ją na duchu, powie- dziano jej przed rozstrzelaniem, że będą do niej strzelać ślepakami i że cała egzekucja odbędzie się na lipę. W rzeczywistości tylko jeden z żoł- nierzy miał na tyle silne nerwy, aby strzelić do pięknej kobiety. Padła — trafiona pociskiem. Inni ją chybili. Może i mnie, Fredowi Philippsowi, chciano zagrać taką komedię? Żeby do ostatniej chwili strugał bohatera?

Tak więc wierzyłem w moich przyjaciół, dopóki nie przyszli po- mnie oprawcy. Oznaczało to, że gu- bernator nie skorzystał z prawa łaski. Teraz już nie było mowy o zwolnieniu. Już znajdowałem się w ostatniej komorze, skąd prowadziła jedna droga. Tam za drzwiami słyszałem, jak przesuwano meble i stukano narzędziami.

Przyszli po mnie wczesnym ran- kiem. Wygolili mi ciemne i włosy na nogach. Na ramieniu wycieli ka- wałek tkaniny, aby umieścić tam elektrodę.

Zgrzytałem zębami ze złości, że mnie okłamaną, gdy mi robiono na-

dzieje tam, gdzie ona w ogóle nie była możliwa. Następnie wprowa- dzono mnie do pomieszczenia egze- kucyjnego. Na twarz nałożono mi maskę. Uchwyty zacisnęły się na moich kończynach. Słyszałem, jak ktoś w pobliżu klepał za mnie jakąś modlitwę. Po raz ostatni oświadczy- łem, że to nie ja zastrzeliłem wów- czas cztery osoby. Byłem tylko przypadkowo w pobliżu. Lecz nie było na to dowodów, więc mi nie uwierzono.

— Nagle przeniknął mnie stra- szliwy ból. Miałem uczucie, że mnie coś rozsada, że mam spuchniętą każdą tkankę. Krzyczałem — chyba w myślach — aż się w końcu zna- lazałem w dużym, zielonym pokoju, okrągłym, bez narożników, a do mnie zbliżał się jakiś olbrzym, któ- ry starał się mnie zadusić. Walczy- łem z owym olbrzymem, choć ja- koś wiedziałem, że to wszystko dzie- je się już po mojej śmierci. Krzy- czałem coraz głośniejsze, a ów potwór, którego trzymałem za gardło, znieważał się i rozpadał na kawał- ki.

Tymczasem zielona kula, gdzie przebywałem, stała się olbrzymia jak kościół. Po chwili zaczęła wiro- wać aż dostałem zawrotu głowy. Potem z wirującej mgły wyłoniły się jakby złociste węże. Wtedy u- słyszałem ludzki głos. Ktoś szep- tem wydawał polecenia:

— Wannę gumową podnieść wy- żej, podgrzać wodę, silniejsze maso- wać! Podłączyć elektrody: jedną na pierś, drugą na kark. Bliżej pod- stawy czaszki!

(Cdn.)

wiedza tajemna

organ samoisny pod redakcją
Joanny Sabillo i Andrzeja Wesolowskiego

wiedza tajemna